



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10.

Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Wydawca Michał Glücksberg

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KANTORZE DUKARNI

Laskauera i Babickiego.

Ulica Ś-to Krzyska № 11.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za wiersz pełitem lub jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartaln. zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgebera i Spół. kwart. 5 marek.

Przy kominku.

(Pogawędka).



Drzwi się otworzyły i przyjaciel mój wszedł do gabinetu.

Nie wyciągnął ręki, nie przywitał się, nie skłonił się nawet, jeno zatrzymując się przedemną, odezwał się politowania głosem:

— A toż cię machnął!...

— Kto? co? jak?... mnie machnął?...—zapytałem zdziwiony.

— Nie czytałeś?

— Gdzie?

— A to dobre!... Gdzie? pyta!

— Ciemnych oświecać potrzeba — to chrześcijański jest uczynek. Zatem czekam od ciebie światła.

— W „Bluszcza.” Twoim ukochanym „Bluszcza.”

— Kto?

— Pan Laskowski.

— Za pozwoleniem—przerwałem.— Nie pan Laskowski, ale wprost Laskowski. Autor „Baniek mydlanych” gniewa się za stawianie p. przed nazwiskami znanymi. Zaznaczył to dość jaskrawo na początku swojego listu do Redakcyi i zaczął mnie od pana traktować. Nie uczułem się wcale tem dotknięty i powiem ci szczerze, że nie zwróciłem uwagi, jak inni o mnie piszą: z pan, czy bez pan. Przyznaję jednak zupełną słuszność p. Las... — prze-

praszam — Laskowskiemu, że przed nazwiskami znanymi p. nie używa się.

— Więc czytałeś?

— Czytałem.

— I co?

— I nic!

— Dziwnie jednak drażliwy jest ten nasz naród literacki — ciągnął mój przyjaciel.

— Nie dziwiłbyś się, gdybyś się do bractwa naszego zapisał. Pracujemy nieraz o głodzie i chłodzie, a gdyby i było czem w piecu napalić i co do buzi włożyć, to tyle innych przykrości wyrzuca nas z równowagi umysłowej, że rozdrażnieniu naszemu częstokroć przebaczyć potrzeba. Najzwyczajniejszą zaś chorobą jest — podejrzliwość. Podejrzewał więc i mnie... Laskowski, że chciałem mu jakąś przykrość wyrzucić, o czem nie myślałem wcale, bo — *primo*: nie leży to w mojej naturze; *secundo* zaś: najmniejszego ku temu powodu nie miałem. Sam zaś wie doskonale (bośmy nieraz rozmawiali z sobą o tem), jak cenię jego talent pisarski i drobiazg każdy, napisany przez niego, czytam z przyjemnością.

— Czegoż tak fuknął?...

— A cóż to szkodzi wyfukać się czasami, tem bardziej, że „Pogrzeb” jego, jak sam twierdzi, nie ma być wcale krytyką dramatu Wyspiańskiego.

— Jakżeś mógł — rzecze mój przyjaciel — nie czytając dzieła pana Laskowskiego...

— Bez p tylko, proszę ciebie...

— Prawda!... Laskowskiego... mówić o niem?

— Żal, równy twojemu, i Laskowski w li-

ście swoim do Redakcyi wyraził, mówiąc: „Żaluję bardzo, że szanowny autor „Baśki” nie czytał „Pogrzebu.” Żal ten jednak wcale uzasadniony nie jest, bo nie mogłem czytać rzeczy nie drukowanej jeszcze, rękopisu zaś szanowny autor „Baniek mydlanych” nie pokazywał mi. Ale, jak powiedziałem w pogadance poprzedniej, ten i ów rękopis czytał i bliższemu koledze zdanie swoje o dramacie tym wypowiedział. W ten sposób i do mnie wieść o nim doszła, a widocznie źle zrozumianą została myśl autora, gdy utwór ten wzięto za coś w rodzaju krytyki „Wesela.” W przygodnej pogawędce, pisząc, co słyhać i o czem mówią na Bożym świecie, wspomniałem i o „Pogrzebie” Laskowskiego. (Odwyczając się od p, jak Bożię kocham!). Ten rozgłos dzieła przed ukazaniem się go w druku, miłym powinien być autorowi; a że jedni, którzy je czytali, wzięli za krytykę „Wesela,” inni (jak sam Laskowski mówi) za *apoteozę* Wyspiańskiego — to, dalibóg, ja temu winien nie jestem. Bądź co bądź—dotąd jest wszystko mi zrozumiałe, i pretensya do mnie, że *na słowo* uwierzył, i postawienie p przed nazwiskiem — ale co znaczy zdanie: „umiejętności strojenia się w cudze pióra nie posiadam, gdybym zaś ten talent posiadał, nie potrzebowałbym szukać daleko i wysoko — Wyspiańskiego, mając mistrzów... pod ręką,” — to tego nie rozumiem, jak nie rozumiem także *ża-lu* Laskowskiego, że jego „wyznanie zrobiło zawód p. K. Glińskiemu.” Zawód? w czem?... że „Pogrzeb” nie jest krytyką „Wesela?...”

A cóż to mnie może obchodzić?... czy—że źle rozumiany mój (czytaj Laskowskiego) domyslnik, o niepowodzeniu jakoby jego dzieła, a ono tymczasem dobrem będzie — żółć we mnie poruszy?... Ależ na Boga — piszcie arcydzieła, a pierwszy wam przyklasnę, przecie bogactwo piśmiennictwa naszego jest mojem bogactwem, sława wasza moją sławą, jestem częstką was wszystkich, i jak każda radość wasza mnie cieszy, tak każdy ból boli. Żleśmy się zrozumieli panie Laskowski...

Nie!

Żleśmy się zrozumieli Laskowski...

I tak nie dobrze!... Zostawiam więc do wyboru i mówię:

— Żleśmy się zrozumieli, a mówiąc o *śmiałości* waszej (unikam: pańskiej — czy dobrze?) nie kładłem żadnego domyslnika, czy wam się powiedzie, bo od tych, którym czytaliście wasz utwór, słyszałem *tylko* pochwały — dziwić się zaś śmiałości mogłem, po rozgłosie Wyspiańskiego, po spaleniu kadzidel przed nim przez Tetmajera. Bądź co bądź, mój przyjacielu, rad jestem z listu Laskowskiego, pisanego do Redakcyi, albowiem dowiedziałem się o niektórych prawdach niezbitych, i tak:

- 1) że nie można na zdaniu ludzi polegać —
- 2) że przed nazwiskami znanymi nie wypada pisać, i:
- 3) że kociel garnkowi przygania, a obydwaj smolą: Ja postawiłem domyslnik niezrozumiały, a on (t. j. Laskowski) znalazł jakichś „mistrzów... pod ręką” — także niezrozumiałych. Teraz, przywitaj się ze mną przyjacielu, boś tak był wzruszony, owem *machnięciem* mnie, że dotąd zwykłem obowiązkowi grzeczności zadosyć nie uczyniłeś.

Pocałowaliśmy się, jak z dubeltówki i usiedliśmy przy kominku.

Zima nie zima — przydaje się jednak owo ciepło kominkowe.

Gdybym był gospodarzem wiejskim, martwiłbym się z powodu takiej pogody, albowiem z prowincyi niedobre wieści dochodzą. Ruń zanadto wybujała, w wielu miejscach wygniła zupełnie, a jeżeli, broń Boże, śniegi na ziemię niezmarznęta spadną, pewną jest klęska nieurodzaju. Mówią nawet, ludzie na rzeczy się znajdujący, że zła wyrządzonego nie naprawią już mrozy i śniegi; może więc, w przewidywaniu tej klęski, ziemianie opóźniają się z przyjazdem na karnawał warszawski, który dość cicho się rozpoczął, ale, jak się zdaje, hucznie się zakończy. Post nie za górami, maluczko, a popiołem głowę posypie my; krótkość zapust tegorocznych musi dodać ochoty tanecznej. Zabawy się udadzą, jeno maskarady coraz bardziej na popularności tracą, jeżeli mamy sądzić z *pierwszej*, na której żywej duszy nie było. Ale bo też żadna maskarada bez humoru i dowcipu się nie uda. A zkąd go wziąć?... Tego się na targu nie kupuje, a życie nie usposabia jakoś do wesołości podobnej.

— Więc na żadnym balu nie byłeś jeszcze? — zapytał mnie mój przyjaciel.

— Na żadnym.

— Ale będziesz?

— Nie wiem.

— Przecie na bal Kasy literackiej, na gospodarza proszony byłeś.

— I zaproszenie przyjąłem, tem bardziej,

że bal zapowiada się doskonale. Już to można powiedzieć, że w szczęśliwą chwilę urodziła się ta Kasa nasza, i od razu została ulubionem, szerokiej publiczności, dziecięciem. Członków z dniem każdym przybywa, urządzane roku zeszłego *konferencye* nie zawiodły ani razu, niedawno *koncert* na jej dochód powiódł się wysmienicie, tem bardziej więc o balu, jej imieniem ochrzczonym, wątpić nie można — będzie hucznie i gwarno, aby tylko sala koncertowa Filharmonii tłumi pomieścić mogła. O innych balach, będących na porządku dziennym nie nie mówię, bo, niestety! one nie wiele mnie już obchodzą, chyba, że — jakaś niezwykła niespodzianka będzie, o której bez obrazy niczyjej wspomnieć mi się będzie godziło, a jak jest trudno na wiarę słów bliźnich swoich zasłyszane wiadomości powtarzać, mamy znów świeży dowód przed sobą.

Wiadomem jest, że utworzył się komitet budowy pomnika Chopina, i że stosowne zezwolenie od władzy już uzyskano. Tyle tylko dotąd wiadomem było. Ale gdy jest pozwolenie, powinien być artysta, który monument wykona; monument zaś nie może wisieć w powietrzu, lecz stanąć na placu miejskim — i oto urodziła się wieść, że Godebski, twórca pomnika Mickiewicza, starał się o to zaszczytne dla każdego rzeźbiarza zajęcie; że kwestya placu była już przedmiotem obrad komitetu, że inżynierja miejska wskazała już na ten cel place: Teatralny, Warecki, skwer na Krakowskim-Przedmieściu, plac Bankowy — i zakończenie górne ulicy Karowej. Gdy więc tak jest, niektóre pisma wystąpiły z krytyką projektu; tym Godebski się nie podobał, tym zakończenie górne ulicy Karowej, a tymczasem komitet pomnika Chopina nic o tem nie wie, żadnych w nim narad nie było, a wieść sobie rozbiegła się po mieście i ludzi niepokoi. Oczywiście, że nikt, za jej uchwycenie na szafot pism codziennych nie poszle; to codzienne przestępstwo, grzech reporterski, dowód, że sprawa dana obchodzi ogół szeroki — uprzedzają więc wypadki i — z przedwczesną wprawdzie, ale, bądź co bądź, z życzliwą występują radą.

Dobrze jest pamiętać o wielkich zmarłych swoich, ale i o żywych zapominać się nie godzi. Dwie piękne postaci narzucają się dzisiaj pamięci narodu: pierwszą z nich jest sędziwa postać ks. Jana Tadeusza Lubomirskiego, świętującego 75-tą rocznicę swoich urodzin, drugą — Marya Konopnicka, której dwudziestopięciolecie pracy na polu literackim w r. b. przypada.

Książę Jan Tadeusz, z rodu i imienia należy do tej sfery społeczeństwa naszego, która na sztandarze swoim mając wypisane godło: *noblesse oblige*, jeśli nie zupełnie, to zbyt często zapomina o niem i coraz bardziej oddala się od spraw ogólnonarodowych, zapominając o własnej pięknej przeszłości i o obowiązkach — przyszłości. Nie do nich należy ks. Lubomirski; przekona nas o tem krótki życiorys i plony pracy czcigodnego jubilata.

Urodził się w październiku r. 1826-go w Stanisławowie Mohylewskim z ojca Eugeniusza i matki Maryi z hr. Czackich, córki znanego z dziejów naszych Tadeusza Czackiego. Nauki licealne skończył w Carskosielsku w roku 1846-ym, w roku następnym odbył podróż po

Syberyi, następnie zamieszkał w Warszawie, gdzie poświęcił się studjom historycznym nad rozwojem gospodarstwa krajowego, drukując prace swoje w „Bibliotece Warszawskiej.“ Podczas epidemii w latach 1852—1855 bierze czynny udział w przeciwdziałaniu klęsce, następnie w Towarzystwie dobroczynności obejmuje kierownictwo ochron. Jemu to zawdzięczamy pierwsze zorganizowanie i zaprowadzenie czytelnicy bezpłatnych i wzorowe kierownictwo niemi. Czynności te jednak nie przeszkodziły mu w prowadzeniu ulubionych badań. W r. 1860-ym wydaje „Pamiętniki Jewłaszewskiego“ i „Opowiadania dla dzieci;“ w r. 1862-im „Ludność rolnicza w Polsce od XV—XVI-go w.“ i „Jurydykcyja patrymonialna w Polsce;“ w r. 1863-im „Kodeks dyplomatyczny księstwa Mazowieckiego, oraz „Przewodnik dla rzemieśln.“ W roku 1862-im zostaje członkiem rady wychowania publicznego w Królestwie Polskiem, oraz stwarza „Spółkę Zjednoczonych Stolarzy“ — stowarzyszenie, oparte na działalności sfer rzemieślniczych. Obrany wkrótce na prezesa Towarzystwa Dobroczynności, obywatelski ten urząd pełni aż do r. 1885-go i ustępując zeń, syt zasług i powodzeń, pozostawia żal po sobie i jak najpiękniejsze wspomnienie. Niezależnie od tak różnorodnych i licznych zajęć, w roku 1870-ym jako jeden z pierwszych uczestników Towarzystwa kredytowego m. Warszawy, zostaje prezesem tegoż Towarzystwa, na którym to urzędzie po dzień dzisiejszy zostaje. Powołuje też do życia szereg instytucyi w kraju i związków, których celem jest polepszenie bytu materialnego sfer drobnoprzemysłowych, jako to: spółkowy magazyn skór surowych i magazyn drzewa rękodzielników warszawskich; Towarzystwo zaliczkowo - wkładowe w Grójcu; Spółkę zjednoczonych szewców w Warszawie; Towarzystwo zaliczkowe w Wiskitkach i Kutnie i Spółkę zjednoczonych krawców w Warszawie. Krom tego książę Jan Tadeusz był redaktorem i wydawcą pierwszej „Encyklopedyi Rolniczej“, jako też inicjatorem „Encyklopedyi Wychowawczej.“

Nic więc dziwnego, że siedemdziesięcio-pięcioletnie urodziny księcia, a półwiekowa jego praca dla dobra społeczeństwa — echem szerokim odbiły się w kraju naszym. Imię jubilata wypełniło jedną z pięknych kart dziejów filantropii naszej. Nie rozczulają mnie zbyt *pośmiertne* zapisy milionerów, których do czystej krwi miłośników ludzkości zaliczyć nie mogę; dają dużo — to prawda! ale dają to, czego po za grób nie wezmą, sami znikają, rozwiewają się, więc choć tym czynem pośmiertnym chcą się w pamięci świata zapisać. Inną więc miarą mierzymy Lubomirskiego takiego; inny niesiemy mu hołd wdzięczności. Nie tylko dawał pieniądze na tworzenie rzeczy pożytecznych, ale i sam tworzył. Długo więc pozostanie w pamięci narodu, jako ukochany syn jego, który z nim razem pracował, kochał i cierpiał.

Wspomnieliśmy, że w roku bieżącym dwadzieścia pięć lat mija pracy na polu literackim, jednej z największych poetek i poetów — Maryi Konopnickiej. Wyraz pamięci i uznania powinien być dany; kto ma zapoczątkować i w jakiej formie ten wyraz hołdu Jej przesłać — to, zdaje mi się, zbyt nie

wymaga trudu. Zadaniem to waszem jest, Polki, zebrać się—pomyśleć, i—wykonać. Ja rzucam myśl tylko, pozostawiając Wam dokonanie dzieła. Prawda, że Konopnicka nie obiecywała wam białych pawów, odrywała was od ziemi w krainy więcej słońca mające, więcej ros orzeźwiających. To nie rozdrażniało, lecz wzmacniało nerwy; z anielskością nie z satanizmem bratało. Siła twórcza jest tylko w pięknie: przeminie wszystko—ono jedne zostanie.

Nadszedł pomników czas... mówiąc inaczej—rozbudzenie się pamięci narodu o tych, którzy dla niego byli chlebem pszenicznym i mlekiem piersi matczynej. Na Krakowskim-Przedmieściu stanął potężny monumet Mickiewicza, wkrótce natchniona twarz Chopina spojrzy na nas z marmurowego piedestału; w kościele Św. Krzyża mamy skromny pomniczek Słowackiego, wiem, że coś i o Krasińskim mówią—a oto w roku bieżącym przypada rocznica śmierci Narceży Żmichowskiej (Gabryeli). Czy nie warto byłoby pomyśleć o skromnym pomniku, a choćby o pięknej tablicy grobowej, któraby przytuliła się do pustych ścian kościołów naszych, i przypominała zasługi znakomitej autorki „Poganki”? Ma wprowadzić Żmichowska swój pomnik na Powązkach, ale inne znaczenie jest tego kamienia cmentarnego, a inne mieć będzie choćby płyta z napisem, umieszczona w murach świątyni, odwiedzaną codziennie przez tłum liczny. Będzie to wyraz pamięci dla zasłużonej zmarłej, której piękno pieśni z pięknem życia w jeden harmonijny akord się zlewało. Na pomniczek taki wystarczyłyby składki groszowe, pozwolenie władz uzyskać nie trudno—a nie źle byłoby, by kobiety nasze przypominały sobie o Gabryeli, w źródle jej czystych natchnień się skapały i zobaczyły, że po lat przejściu nie one z piękności, nie ze świeżości swojej nie straciły. I oto druga myśl na czasie, której wykonanie w ręce wasze składam kobiety polskie!...

Przejdźmy teraz do spraw bieżących, które się zaznaczyły hojnymi zapisami na cele dobroczynności publicznej. Honorowe miejsce zostawiamy tu pp. Feliksowi i Emilii hr. Sobańskim, nie ze względu na wielkość ofiarowanej sumy, ale dla tego, że ofiara nie ma marki pośmiertnej, która, bądź co bądź, znaczenie czystej filantropii obniża nieco. Owóż tedy Sobańscy złożyli na ręce Towarzystwa Rolniczego gub. warszawskiej 100,000 rb., przeznaczając ten fundusz na utworzenie Kasy przezorności lub Kasy emerytalnej dla oficyalistów rolnych. Do delegacji, która ma opracować odpowiednią ustawę, zostali powołani: Maciej ks. Radziwiłł, radca Janusz Śliwiński, Michał Natanson, radca Stanisław Dzierżbiczi, prezes Kasy, Stanisław Wronski, Seweryn ks. Czertwertyński, Ciszewicz i St. Rutkowski. Prócz tych, do delegacji należyć będzie i przedstawiciel rodziny hr. Sobańskich.

Drugim hojnym zapisodawcą jest ś. p. Jan Gotlieb Bloch. Jako finansista i autor dzieł treści polityczno-strategicznej, nieboszczyk znany był w kraju i zagranicą. Nie pisząc szczegółowego życiorysu, nie możemy rozbiierać tych prac jego, które też leżą poza granicami kompetencji naszej; nieprzyjaciel woj-

ny, zwolennik pokoju, doczeka się kiedyś właściwej oceny, my zazieramy tylko do testamentu, i zszeregujemy cyfry zapisu ś. p. Blocha.

Ogólna suma wynosi 300,000 rb.; na nią składają się: 25,000 rb. w gotówzinie i place w Warszawie wartości mniej więcej 50,000 rb., którą to sumę przeznacza zmarły na zakład dobroczynny dla ulżenia niedoli dziecięcej. 70,000 rb. złożone już w Tow. Dobroczynności, nieboszczyk przeznaczył na otworzenie oddzielnej instytucji przy temże towarzystwie; 10,000 oddaje do rozporządzenia urzędu starszych zgromadzenia kupców m. Warszawy na zapomogi dla podupadłych kupców chrześcijan i żydów; 30,000, przypadające nieboszczykowi jako czynsz dzierżawy od Politechniki, przeznacza testator na zapisy dla studentów, kończących politechnikę, bez różnicy wyznania, urodzonych w Warszawie. Plac wartości 10,000 rubli, na którym wzniesiono przytułek Św. Franciszka Salezego, a który był aż dotąd własnością zmarłego, zostaje testamentem darowany tej instytucji — i — 50,000 oddaje do rozporządzenia syna na cele propagandy pokojowej wspólnie z międzynarodowym komitetem pokoju w Bernie.

Nie mniej hojny zapis jest b. p. Jana Joachima Sterna, który całym prawie swoim majątkiem, składającym się z 300,000 rb. tak rozporządził:

10,000 rb. na rzecz Kasy imienia J. Mianowskiego.

20,000 rb. na budowę szpitala Starozakonnych w Warszawie.

18,000 rb. dla zarządu gminy starozakonnych, na wpisy i inne cele filantropijne.

15,000 rb. dla tegoż zarządu gminy starozakonnych na konserwację grobu rodziny Sternów i nabożeństwa, z warunkiem, by fundusz pozostały użył Zarząd gminy według własnego uznania.

200,000 rb. zmarły przeznaczył na rzecz warszawskiego Tow. Dobr. na utrzymanie ochron w $\frac{2}{3}$ dla wychowalców wyznania katolickiego i $\frac{1}{3}$ mojżeszowego, na stypendya, nagrody dla służących, przytulki i t. d.

Na zakończenie pogawędki dzisiejszej musimy wspomnieć o konkursie dramatycznym imienia Henryka Sienkiewicza. „Rozwój Łódzki“ z d. 10-go stycznia podaje co następuje:

W dzień otwarcia Teatru Wielkiego w Łodzi, zaproponował redaktor „Rozwoju“ utworzenie konkursu, przeznaczając na ten cel rb. 500, którą to sumę grono miłośników sceny powiększyło składkami do wysokości 1,200 rb.

Warunki konkursu:

1. Do konkursu dopuszczone będą sztuki, mogące wypełnić całe przedstawienie, zatem nie mniej jak trzy-aktowe.

2. Ubiegać się mogą o nagrodę: tragedia, dramat i komedia.

3. Termin nadsyłania sztuk naznacza się na dzień 1 Października 1902 r.

4. Pierwsza nagroda rs. 1,000 przyznana będzie sztuce bezwzględnie dobrej — zatem nie tylko najlepszej z nadesłanych. Gdyby komitet między sztukami nadesłanymi nie uznał żadnej, któraby posiadała bezwzględną wartość literacką i sceniczną, można będzie pierwszej nagrody nie przyznać wcale, i ogłosić konkurs

ponownie, który w takim wypadku mieć będzie jako termin rok 1903.

5. Nagrodę drugą w kwocie rb. 300 otrzyma utwór najlepszy z nadesłanych.

Sztuki mają być nadsyłane redakcji „Biblioteki Warszawskiej“ z napisem na kopercie: „Konkurs imienia H. Sienkiewicza.“ Do każdej przesyłki dołączona być winna druga koperta, a na niej wypisana dewiza, którą również opatrzony ma być rękopis.

Komitet stanowią: Henryk Sienkiewicz, W. Bogusławski, Ignacy Baliński, Ignacy Chrzanowski, Dyonizy Henkiel, Władysław Jabłonowski, Jan Karłowicz, Kazimierz Kaszewski, Adam hr. Krasiński, Maryan Massonius, Władysław Rabski, Juliusz Adolf Święcicki, Antoni Sygietyński, Józef Weyssenhoff, Wiktor Czajewski.

Oprócz tego wyznaczoną być ma nagroda od publiczności, której wysokość ogłoszona będzie 1-go Października. Sztuki odznaczone wystawione będą kolejną bez wymieniania nazwisk autorów, a publiczność orzeknie za pomocą odpowiednich kartek, której daje pierwszeństwo a tem samem przyznaje nagrodę.

Kazimierz Głiński.



Julia Terpiłowska.



PRZYSTAŃ.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA,



(Ciąg dalszy).

Mewa uderzyła go rękawiczką i zwróciła się pani Rejskiej.

— Wie pani, mam zamiar zrobić wizytę pannie Kalinieckiej.

— Bardzo słusznie—odpowiedziała pani Rejska.—Panna Kaliniecka nie przestała być osobą dobrego towarzystwa, dla tego, że wskutek szlachetnego postępuku zesłała z pałacu do chaty. Poznałam się z nią na probostwie, i bardzo mi się podobała.

— Doprawdy? dlaczegoż mi pani nie o niej nie powiedziała, kiedy wybierałam się do tej Zagrody?

— Nie chciałam ci psuć niespodzianki.

— Rzeczywiście, niespodzianka wielka i bardzo mi bawi spotkanie tak oryginalnych typów na tutejszym partykularzu.

— Więc tylko dla zabawki chcesz się do nich zbliżyć? — zapytał Zygmunt.

— A dlaczegożby innego? — odpowiedziała. — Ach! myślałam pewnie, że dla jakiejś tendencji społecznej? Niech i tak będzie, jeśli to ci się lepiej podoba.

Uśmiechnęła się do niego mile, ale on jej nie odpowiedział uśmiechem.

Pan Wielolecki zastanawiał się przez chwilę, a potem wygłosił z powagą swoje zdanie:

— Znajduję, że postępek Kalinieckich z ową nieproszoną synową hrabiny był przerwaniem sumiennością, to zaś zchłopenie się ich — zbyt ekscentrycznym konceptem. Możemy jednak sądzić ich pobłażliwie ze względu na

okoliczności łagodzące. Mam nawet ochotę towarzyszyć Mewie do owej Zagrody, aby zobaczyć tych oryginałów.

— Zdaje mi się — rzekła pani Rejska, — że Kalinieccy pobjazania nie potrzebują. W pierwszym wypadku postąpili, jak ludzie prawego charakteru; w drugim, wolno im było urządzić się według swoich potrzeb czy też upodobań.

— Przyzna pani jednakże, że dla panny Kalinieckiej stosowniejszemby było zostać *dame de compagnie* w jakim arystokratycznym domu?

— Musiałaby w takim razie nie tylko zaprzedać swoją niezależność, ale także opuścić brata. Jestem pewna, że jej lepiej tak, jak jest obecnie.

— Panią, jako wychowaną w Anglii (pani Rejska była córką emigranta) żadna ekscentryczność nie razi; ale dla nas, wykarmionych innemi tradycjami, podobny sposób życia wydaje się trochę ryzykownym wobec opinii świata.

— A wszakżeż to chyba miejscowe tradycje najbardziej zgadzają się z oddaniem się pracy około roli?

— Za pośrednictwem ekonoma, kochana pani, ale nigdy własnoręcznie!

— Przeciwnie; wszak dawniej ta sama ręka, co kreski na sejmie dawała, prowadziła pług na swoim zagonie. I lepiej było, gdy ściślej z ziemią zespolenie wyradzało większą o nią dbałość.

— Gorliwy z pani szampion tych dobrych, dawnych czasów, gdy noszono buty z cholewami i jadano kluski na oleju. Składam broń — bo z paniami nie umiem walczyć!...

Skinął jej głowę uprzejmie — i zabrał się do przeglądania francuskich ilustracji. Zygmunt spojrzał na zegarek, pożegnał się i odjechał.

W nabrzeżańskim dworze, kiedy powozik młodego Nabrzezkiego zatrzymał się przed gankiem, było cicho i ciemno, w jednym tylko z frontowych pokoi świeciło się w oknie, zasłoniętem różową firanką. Za tą firanką był różowy salonik, zastawiony mebelkami, jak zabawki dziecinne, pełen porcelanowych lalek, japońskich wachlarzy, ekraników, draperyjek, jedwabnych gałganków i kolorowych papierków, a na to muzeum modnych fatalaszków płynęło różowe światło z wiszącego u sufitu globu. Gdy Zygmunt podniósł różową portyere, z kanapki bardzo niewygodnej, ale bardzo „Pompadour“, zerwała się niewielka osóbką, szeleszcząc jedwabiami, podbiegła do niego i zawisała mu na szyi.

— Ach, niedobry Musiu! — zaszczebiotała pieszczotliwie, — jesteś nareszcie! Byłam cały wieczór sama jedna i tak się nudziłam!

— Przepraszam bardzo — rzekł Zygmunt, całując ją w czoło; — nie mogłem wcześniej wrócić.

— Nie mogłem! nie mogłem! — odparła z kapryśnym dąsem; — Muś tam się bawi, a córnudnie tu nudno...

— Jutro pojedziemy razem.

— Wielolecki wrócił?

— Wrócił dziś przed wieczorem.

— To pojedziemy. Kiedy go niema, Mewa tobą zajeta, a mnie Rejska bawi; miła zabawa! Siadajże, Musiu, opowiedz mi co ciekawego!

Weisnęła się w fotelik, a małeńkie pantofelki wyciągnęła na puszystą skórę jakiegoś różowego zwierzęcia.

Niewielkiego wzrostu, okrągłutka, z figurką pełną a wciętą, blado-niebieskim jedwabiem opięta, miała twarzyczkę także zaokrągloną, z małym noskiem i drobnymi ustami; pleć jej była biała i różowa, brwi i rzęsy ciemne, nad czołem wilo się mnóstwo krótkich kędziorków ciemno-płowych, a ta główka, prawie dziecinna, efektownie odbijała od kształtów, kwitnących zupełnym rozwojem.

Była to pani Mimi Nabrzezka, matka Zygmunta. Przycmione światło różowego saloniku ujmowało jej lat ze dwadzieścia, ale i za dnia wyglądała nad wiek swój młodo. Bielidła, czernidła i karminu używała tak kunsztownie, że tylko bystry wzrok drugiej kobiety mógł się ich domysleć, a umiejętne przystosowanie stroju do powierzchowności uwydatniało wdzięki tak sztuczne, jako też i pozostałe dotąd. Poczucie tej, częścią podrobionej, częścią dobrze zachowanej młodości, dawało jej prawie zupełnie szczere przeświadczenie, że straszna cyfra 47 jest grubiańskim wymysłem metrykalnych porządków, i pozwalało utrzymywać z figlarnie naiwną minką, że jej dwudziestokilkuletni syn pozuje tylko na dojrzałego mężczyznę, ona zaś sama za nadzwyczajną dyspensą w piętnastym roku życia matką została.

— Kiedy się już jest bliską wieku Balzkowej heroiny... — mawiała o sobie z akcentem lekkiej melancholii i dodawała, że już za lat parę, jako czterdziestoletnia kobieta przestanie nosić białe muśliny i świeże róże.

W dzieciństwie swem Zygmunt widywał matkę przy oddawaniu jej „dzień dobry“ i „dobranoc“, podczas czego obsypywała go najczulszemi pieszczotami; po za tem zostawał — po wczesnej śmierci ojca — pod kierownictwem rodziców nieboszczyka, którzy podjęli się wychowania wnuka ku wielkiemu zadowoleniu synowej, mającej cały czas zajęty swoją własną osobą.

Gdy Zygmunt po ukończeniu nauk i na żądanie dziadka, właściciela Nabrzeżan, objął stanowisko pana dóbr i domu, pani Mimi w stosunku do poważnego syna zaczęła coraz bardziej przybierać pozory rozpieszczonej i nieodświadczonej istotki, i poddała się jego opiece tak mile i z takim wdziękiem, że syn prawie się nie spostrzegł, gdy nakoniec została jego córeczką, jak w żartobliwej pieszczocie nazywać siebie lubiła.

A jednak ta kobieta pozornie tak miękkiej natury, nie była wcale pozbawioną energii. Umiała upornie obstawać przy swoim, kiedy jej o nią samą chodziło, umiała bronić praw swoich, nie tylko rzeczywistych, lecz urojonych, umiała walczyć wytrwale w obronie swego widzi-mi-się, ale sposobność do takiej walki rzadko się zdarzała, bo wszyscy w domu uprzedzali wszelkie jej zachcianki, którym zresztą łatwo było dogodzić, gdyż obracały się wyłącznie w kółku osobistych przyjemności.

Weześnie owdowiawszy, nie wyszła powtórnie za męża, chociaż miała wielu wielbicieli, bo pomiędzy nimi stosowna partya jakoś się nie trafiała. Wiedziano, że wychodząc za Nabrzezkiego wniosła w jego zamożny dom starszłachecki tylko wdzięki i tytuł, posagu nie

miała, bo rodzicielski majątek był majoratem. Po owdowieniu uważała siebie wprawdzie za właścicielkę dóbr Nabrzeżańskich, nikt jednak nie przypuszczał na seryo, aby taką fikcyjną własnością mogła się podzielić z drugim mężem — i dlatego, czekając na odpowiedniego konkurenta, doczekała się — dorosłego syna.

Stałym jej wielbicielem był pan Wielolecki. Starał się o nią, kiedy była panną i był przez nią mile widzianym, ale konkury przerywała nagle jakaś jego awanturka zakulisowa, i piękna Mimi zwróciła afekt ku Nabrzezskiemu. Po owdowieniu obojga, odnawiał się pomiędzy nimi za każdym spotkaniem dyskretny flirt, ale do poważniejszych rezultatów nie doprowadzał, bo pan Wielolecki, który dla córki chętnie przyjął tak zamożnego chłopaka, jak Zygmunt, nie widział żadnej potrzeby brać dla siebie jego matkę w dodatku.

A pani Mimi, ubierając się w jego ulubione delikatne barwy i wspominając mu nawiasowo o jakiejs alei w rodzicielskim parku, żywiła ciągle na dnie serca nadzieję, że ten nieuchwytny bałamut będzie jeszcze kiedyś jej ostatnim tryumfem.

— Jakże Mewa była dziś ubrana? — pytała matka syna.

Zygmunt usiłował zadowolić ją dokładnością opisu, jednakże wyszły w nim tak dziwne kombinacje, że pani Mimi najpierw roześmiała się dźwięcznie, a potem rzekła z dąsem:

— Mój Musiu, że też ty, patrząc ciągle na mnie, nie nabrałeś dotąd znawstwa w tych rzeczach.

— Widocznie nie wchodzi to w zakres moich zdolności — odpowiedział.

— Jakże będziesz w takim razie z żoną swoją rozmawiał?

— Przypuszczam, że nie będziemy z sobą rozmawiali o bufiastych rękawach.

— Ale fe! czyż tego nawet nie wiesz, że bufiaste rękawy dawno z mody wyszły?

— Tak?... Nie uważałem, — rzekł z roztargnieniem.

Westchnęła zlekka i wzruszyła ramionami.

— No, to opowiedz mi co o Wieloleckim, — rzekła po chwili.

Zygmunt zdał sprawę z wycieczki, z której przyszły teść jego powrócił i odpowiedział na pytania, dotyczące się jego humoru i wyglądu.

— Cóżście robili dzień cały? — badała dalej. — Bawiliście się wesoło?

Wtedy wspomniął o przechadzce do Zielonej Zagrody, i opowiedział w ogólnych rysach historię Kalinieckich.

— Co za niemądra historia! — rzekła pani Mimi. — I mówisz, że Mewa chce wizytować tych dziwolągów?

— Mewa znajduje, że wymaga tego elementarna grzeczność.

— Powiedz-że jej, albo lepiej ja sama jej wytłomaczę, że, jeżeli już chce koniecznie zabawić się w popularność, zrobi aż nadto dosyć, jeżeli im poszle kartę wizytową.

— Zdaje mi się, że Mewa chciałaby poznać ich bliżej.

— Co ci się roi! Poznać ich bliżej — i może dać im wstęp do Obrywińskiego pałacu? Czy wyobrażasz sobie w salonie Mewy dzieciny w wyszywanej koszuli?

Roześmiała się, a Zygmunt potarł czoło.

— Suknia nie człowiek... — mruknął i zamilkł, bo nie lubił drażnić matki wypowiedaniem sprzecznych poglądów.

— Suknia—to forma — odparła, — a formy decydują, do jakiej sfery kto należy. Kto z niej wyszedł dobrowolnie, niech się do niej napowrót nie wciska razem ze swemi dziwactwami!

— Zdaje mi się, że panna Kaliniecka nie ma zamiaru nigdzie się wciskać, ani jej brat

również. Zresztą, nie będę ich sądził, póki nie poznam bliżej.

— Jakto? czy i ty pójdziesz złożyć im swoje uszanowanie?

— Ponieważ przez nieświadomość znalazłem się niestosownie względem panny Kalinieckiej, więc rzecz prosta, że muszę ją za to przeprosić.

— Mój Musiu, ty dojdiesz do tego, że będziesz ścisnąć się za ręce z chłopami!

— Nie, mateczko; u nich to nie jest w uży-

ciu, a niema potrzeby, aby swoje zwyczaje na moje zmieniali.

— Tegoby brakło! oto byłyby karykatury!

— I ja tak myślę — więc zostawmy chłopów w spokoju. Dobranoc mateczce! Zajrzę jeszcze do dziadków, jeżeli nie śpią, a córeczka niech się kładzie, bo wygląda trochę zmęczona.

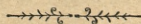
— Co?... doprawdy źle wyglądam?

Niespokojnie odwróciła głowę do lustra.

— Nie mówię, że źle, ale trzeba wypocząć, bo oczki podkrażone. (Ciąg dalszy nastąpi).

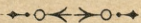


DEOTYMA.



NAD MODRYM DUNAJEM.

(Z POEMATU „SOBIESKI POD WIEDNIEM“.)



(Ciąg dalszy).

Nagle, zjaśniało..... Stanęli olśnieni.
Grzegórz trze oczy rękami obiema.
Zkądże tu tyle światła i przestrzeni?
Gdzie mur? Ach Boże! Tu muru już niema.
Runął, kamiennym podobny mogiłom,
A w jego miejscu zieje pustka..... wylom.
Pahr mierzy okiem... Rachuje się z klęską.
Jest ze sześć sążni..... Zły wylom..... Dość długi,
Ażeby Wezyr stukonnemi cugi,
Wjechał do miasta zwycięzko.

Z dwóch stron, zniszczenie. Po lewój, strat mało;
Mur się tam ostał, choć bok ma szczerbaty;
Już nawet na nim znów grają armaty.
Ale po prawej, ach tam co się stało!
Lwia-baszta, gniazdo na rycerskie lwięta,
Stoi, od dołu do góry pęknięta.
Wybuch ją musnął; niby nic, a ścianę,
Tak z niej wyluszczył, jak skorupę z jaja.
Widać we wnętrzu piętra poszarpane,
Gdzie zbrojna straż się przyczaja.

Rzeźnik pomyślał: — «Bożeż mój łaskawy!
«Co dziś, to chyba dorznięto już wołu.
«Ha! Zgińmyż pięknie.» — Zakasał rękawy,
I zaczął zwolna schodzić do wądołu.
Bo mur, strącony pchnięciem odśrodkowém,
Spadł na dno rowu, co nie był już rowem,
Ale chaosem raf, gruzów i wody.
Tak mina, siłą Tytanową zbrojna,
Z drogi do miasta uczyniła wschody,
Po których szły, Mord i Wojna.

U samej góry pracowały głowy.
Tam stał Komendant. Wzrok puścił daleki,
Głos miał jak zawsze cięty i surowy,
Ale na twarzy nosił dwa wypieki,
A w oczach boleść jakąś niewyznaną,
Którą u niego jeszcze nie widziano.
Wróżb tych nie dojrzał tłum zajęty bojem.
Tylko najbliżej przy nim zgromadzeni,
Jenerałowie, de Souches, Daun, Sereni,
Badali je z niepokojem.

Na niższym szczeblu, na samym wylomie,
Posłuszne głowie, ręce pracowały.
Pułk Starhemberga tam stał nieruchomie,
I z rusznic puszczał rytmiczne wystrzały.
Ilekroć wstęga błyskawic zapłonie,
Szereg przykłęka i nabija bronie,
A z dalszych rzędów błyskawice idą.
Młody Pułkownik, postać marsowata,
Był to synowiec Starhemberga, Gwido,
Orlik, co pierwszy raz wzlata.

O szczebel niżej, sterczało zwalisko.
Tam się już Turcy wdzierali z wysiłkiem.
Ciężko im było, przepastno i ślizko.
Wszystkie ich roje wychodziły chyłkiem,
Z warstw jeszcze niższych, z kopalni Aprozów,
Pociętą siecią szańców i koszów.
Dziwny rysunek! Śmierć go szkicowała,
Ludzie szli za nią i w ziemi go ryli.
Cóż, jakby Kraken długi na pół mili,
Miastu przypięty do ciała.

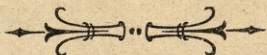
Ponad tém wszystkiém, pół miedź a pół olów,
 Ciężyły chmury czarne i czerwone.
 Rzekłbyś, że niebo, wstydząc się aniołów,
 Na walkę ziemian spuściło zasłone.
 Nie! Czysto-ludzkiej to wytwór był ręki.
 Z obu stron, działa rozwarły paszczęki,
 Rzucały sobie ogniste wytryski,
 Aż dym z wojennych wyzioniony machin,
 Opadł, i nakrył plac bitwy, jak niski,
 Nad katafalkiem baldachin.

Bardzo te dymy były naprzykrzone
 Kommendantowi, który przez lunetę,
 W jedną się patrzył uporczywie stronę,
 Nie na walczących, lecz na dalszą metę.
 — Przy nim, z nogami wziętymi w powijak,
 Siedział na noszach, (bo inaczej, nijak
 Niemógł się ruszać,) odstawny Pułkownik,
 Herr von Rümlingen, nie ranny, lecz chory.
 Próżno go brały na łańcuch Doktory,
 Urwał się stary wojownik.

Cóż ztąd że niemoc odjęła mu nogi?
 Wojował głową. Strategji był świadom.
 Wciąż go noszono śród kul i pożogi,
 A wódz się jego przysłuchiwał radom.
 — Teraz tak mówił: — «Żle z nami.... lecz znowu,
 «To dla nas szczęście, że mur zlaźł do rowu,
 «I skał natworzył. Niemogą iść ławą;
 «A pojedynczo, nim dojdą, wyginą.»
 — Starhemberg chmurny, spoglądał na prawo,
 I mruczał, trąc wargę siną:

— «Z tych wszystkich gadań pociechy jest mało.
 «Jeśli wybrniemy, to będzie cud boski.
 «Czegom się lękał, to właśnie się stało.
 «Jeszcze z wyłomem byłoby pół troski,
 «Ale rozpruty brzuch tego bastjonu,
 «To nasza rana! To znak.... jakby zgonu.
 «O mój ty Wiedniu, broniony tak stale,
 «Miałebym patrzeć na twoją ruinę?
 «Nie! Bóg mi świadkiem, albo cię ocalę,
 «Albo na miejscu tu zgine.»

(Ciąg dalszy nastąpi).



W ćwierć wieku po zgonie Narcyzy Żmichowskiej.

Młodość stara, martwa wiara —
 I cierpienie bez świętości,
 Twoje serce, bez miłości.

Dobrze uczczono rocznicę ćwierćwiekowej narodowej straty — wydając nową edycję dzieł Gabryeli i książeczkę „Myśli“ poetki. Odezwały się tu i ówdzie głosy, dowodzące, że pamięć znakomitej kobiety żyje w sercach, że owszem około jej imienia zaczyna się grupować nowe koło czytelników i wielbicieli. Ale bo też spuścizna Narcyzy Żmichowskiej, liczy się do tych trwałych darów, które powoli przenikają grunt mało przygotowany, i jak zwykle ci, co wyprzedzają swoją epokę — tak i ona, coraz lepiej z czasem rozumianą będzie.

Nietylko nie przeżyły się pisma Gabryeli, ale w wielu wypadkach okazały się pełne rad i uwag, jakoby jasnovidzącej przyszłość, a przykazanie miłości, tchnące w każdym słowie, surowa wymagalność prawdy w życiu, jak w sumieniu, w czynie, tak, jak w głoszeniu przekonaniu, stanowić będą zawsze epokę, na której można budować. W chwili ukazania się oryginalnych cudną formą i porywających treścią swą utworów, wrażenie miało być wielkie, lecz czy dziś również nie elektryzują nas do czynu, nie rozpalają uczuć żywych, słowa poetki, wskazujące nam wysokie cele w sposób tak prosty, językiem tak lapidarnym, myślą tak promienną — że niepodobna niemal urokowi wezwania się oprzeć. I chciałoby się dążyć do tego nieba, które jest „Życiem w arcydziele“ — a uciekać od tego piekła, określonego tak ponuro i dosadnie zarazem:

Jestto życie, co w brud ściekło —
 Znak anioła, starty z czoła —

Dziś, jak wtedy, czujemy to gorące pragnienie poetki, by pracowników zjednać dobrej sprawie, by fałsz i obłudę wygnać z społecznych stosunków, by oczyścić atmosferę, podnieść poziom ogólny; ta jasna, piękna dusza, niby gwiazda wśród ciemnej nocy — prowadziła całe pokolenie. „Ja kochać pragnę więcej, jak drudzy“ mówiła — i w tę miłość zakłęła swą duszę. Ale też w udziale dostała się jej „gwiazdka leż“, którą przeniosła ponad inne, najświeźsze gwiazdy, jak bogactwo, sława, radosne używanie szczęścia. Zanim to czuła z cierpiącymi, zanadto pragnęła światła dla ciemnych, dla małych, by na chwilę o osobistych celach pomyśleć mogła. Z płaczącym sercem, z wołaniem do Boga, z rękoma wyciągniętymi błagalnie ku górze, czekała zmiłowania Pańskiego. I dlatego ukochali ją ludzie — za tę dostojność najszlachetniejszej duszy. I mówiły kobiety: „Prowadź nas Gabryelo! Stań na czele, my za tobą pójdziemy wszędzie!“

Gabryela w ewangelicznej prostocie, usuwała się od przewodnictwa, ale od pierwszej młodości stanęła u pług. Uczmy się! uczmy! — wołała. — I drugim ułatwiała pracę, kształcąc się coraz wyżej i wyżej.

Najgenialniejsza z kobiet polskich, wzięła się do pedagogiki, uczyła dzieci małe, gromadziła koło siebie starsze dziewczęta. Nie o emancypacji modnej myślała z pewnością, tylko o podniesieniu kobiety przez naukę i pracę.

„Kobieta — mówiła, nowy żywioł przyniesie z sobą, i kobietą pozostanie,“ mimo że naukę zdoła będzie.

Rozważać musimy każde słowo Gabryeli a czytując się w jej *myśli*, przekonamy się, jak wiele z nich należałoby nam wcielić w życie, jak wiele trzebaby nam przyjąć za hasło i dewizę... Ta przewodniczka nie zawiedzie nas na bezdroża z pewnością, bo cel jej był wielki i święty, a Bóg dał jej zarówno wielkie serce, wezbrane miłością, jak porywającą potęgę słowa. Narcyza Żmichowska żądała od nas pracy nieustającej, doskonalenia się ciągłego, poświęcenia bez granic; po za pracą, prawdą, miłością i poświęceniem, nie widziała zbawienia. Dlatego wraz z swoim Deodatem, dziwiła się tak boleśnie, widokiem rozstroju, jaki panuje w świecie, między słowem a czynem; dlatego wraz z swoim Hieronimem, nawoływała ludzi do wyrzeczenia się marzeń, a służenia wiernie surowej prawdzie. Nasze młode pokolenie zdaje się to lepiej od poprzedniego rozumieć, wyrzekając się marzycielstwa.

Z pociechą widzimy nietylko więcej uczących się gruntownie i pracujących poważnie i systematycznie na polu nauki i sztuki, ale zabierających się raźnie i rzeźwo do prac społecznych, wypełniając na pozór drobne, praktyczne zadania. Pedagogika i filantropia wchodzi na drogę racjonalniejszą. Na polu przemysłu i zawodowej pracy, ruch pewien zaczyna się budzić. Droga to trudna i daleka, ale się z niej kobiety nasze nie cofną. Odmien-

ne warunki życia, wywołują odmienne potrzeby i cele.

Rozglądając się w pozostałych myślach — rozproszonych tak w dziełach, jak w korespondencji Narcyzy, zrobimy sobie najlepsze wyobrażenie o całokształcie jej dążeń i przekonań. Stoi przed nami postać ta świetlana, jednolita i konsekwentna — jak z granitu. Do niej to w zupełności stosują się słowa, że gdy ilość zepsucia przeważa na świecie, jakoś dobrego musi świat podtrzymywać. „Co jest cnotą, musi być cnotą bez skazy złej myśli, — co jest światłością, musi być słońcem bez plamy, co jest pracą, musi być szczerem utrudzeniem, co jest celem, musi być w niebie, co jest przyczyną, musi być w sercu świętością.“

Bez świętości, bez Nieba, trudu, czystości i prawdy, każde ziarno czynów ludzkich na glebie historii, w pustą słomę wykłosuje...

W dwadzieścia pięć lat po zgonie Gabrieli zachwycamy się równie gorąco prawdą tych słów, jak wtedy, gdy po raz pierwszy słyszane zabrzmiały, jak objawienie.

Czas nie tylko nie ujął nic z uroku, ale go spotęgował. Wdzięczność nasza rośnie w miarę, jak ją poznajemy. Dziś w tę rocznicę ćwierćwiekową, przypominamy sobie każdy szczegół jej pięknego życia i śmierci. A trzeba o tem dobrze pamiętać, że gdy śmierć zbliżała się do łóża cierpiącej Narcyzy, gdy ona doczekać się jej nie mogła, nazywając ją najradośniejszą chwilą swojego smutnego życia, kilku młodych ludzi stanęło przy umierającej, mówiąc, że jako posłannicy młodzieży przyszli podziękować Gabrieli za pracę całego życia. Przyszli, jako w dzień wigilijny, przełamać się z nią opłatkiem. Rozpromieniła się słonecznym blaskiem twarz umierającej i słowa miłości popłynęły z jej ust. W miłości przekazała tajemnicę życia — i możność spełnienia najtrudniejszych zadań. Piszac do „Bluszcza“ — do młodych kobiet zwłaszcza, oddaje im wrażenie niezwykle owej chwili, jako puściznę po wielkiej poetce. Poezyą szczytną było jej całe życie. I to jeszcze powiedzieć wam muszę, młode czytelniczki, że pragnąc samodzielności i światła dla kobiet, ostrzegając przed giętkością powoju, szukającego wciąż podpory — lubiła *bluszcz* nade wszystko.

W najpierwszym liście, który od Narcyzy dostałam w dniu imienin, wyraziła to dobitnie, przysyłając doniczkę świeżego bluszcza — a życząc „obyć bluszczem nie powojem, Bóg dał rosnąć przed obliczem swoim“ — prosiła, bym się nie pomyliła na symbolice roślinnej i przesłanego bluszcza w znaczeniu mistycznym z powojem nie pomieszała. Powój to wedle najstarożytniejszego wykładu, omdlewająca słabość, wieczne cudzej podpory, cudzej siły potrzebująca: bluszcz — to wedle moich Greków ukochanych, godło spokoju i wytrwałości, bo choć na wątłej łodydze, jędrne ma liście i kolor niezmiennie zielony.

Pod tem godłem pracować będziemy — i niech nam będzie sojuszem na przyszłość to słowo Gabrieli. Już tak dawno pragnęłam podzielić się z Wami tem, co mi przekazała poetka, że z prawdziwą radością rozpoczynam pracę, która ma Was zapoznać bliżej z jej życiem, z jej osobistością. Jak wypowiedziała się w pismach swoich, tak dokładniej jeszcze wypow-

wiedziała się w listach, spowiadając w nich duszę swoją.

Wanda Żeleńska.

Kraków, d. 7-go stycznia 1902-go r.



Z cyklu „Wizye.“



Gdy noc przechodzi w śnieżnych skier dyademie,
I jasne gwiazdy rozpala na niebie,
Gdy sen strudzoną ukolysze ziemię —
Wówczas, o Chryste, modlę się do Ciebie.

Wiatr za oknami zawodzi i jęczy,
A ja, wpatrzona w nocy mroźnej ciemnie,
Rajskie ogrody widzę w blaskach tęczy —
I nowa wiosna znów zakwita we mnie.

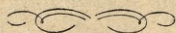
Idziesz... a kwiaty kornie się kołyszą,
Jak kadzielnice wonne, srebrno-białe...
Równie, objęte zadumą i ciszą,
Swych zbóż poszumem głoszą Twoją chwałę;

Hymn dziękczynienia rwie piersi ptaszące —
Nad Twoją głową lśnią kręgi świetliste...
Ku tej światłości ja wyciągam ręce,
Mdleję z zachwyty i modlę się, Chryste!...

To znów rozlane widzę w bezkres fale,
A po nich depcą Twoje stopy krwawe...
I głąb — przed chwilą hucząca zuchwale
Wnet uciszona, zda się, wzdycha: „Ave!“

O Chryste, Chryste, co idziesz głębiną
Przez namietności ludzkich wielkie morze —
Patrz, z ócz mych gorzkie łzy pokuty płyną...
Zabierz mnie z sobą w tę promienną zorzę!

Jan Mori.



Ferdynand Hoesick.



NAD WODĄ WIELKĄ I CZYSTĄ...

VEVEY.



(Ciąg dalszy).

Wszystko to, równie dobrze, jak z niewielkiej łódki, można dostrzegać i z pokładu parowego statku, tylko, że wtedy wszelkie wrażenia odbiera się w bardzo szybkim tempie, jedno po drugim, statki bowiem, kursujące po jeziorze Genewskim, pomiędzy Genewą a Bouveret, płyną szybko, tak, że wszystko widzi się jedynie w przelocie, tak samo niemal, jak z okna wagonu. A przytem, płynąc statkiem parowym, o ile się nie jedzie w bardzo rannych godzinach, nie można się rozkoszować samotnością wśród błękitów i „blichtrów“ Lemanu, gdyż na pokładzie najczęściej bywają wszystkie miejsca zajęte, choć niektóre statki odznaczają się ogromnymi rozmiarami. W głównym sezonie, a więc od jakiegoś czerwca do końca września, Szwajcarya roi się od turystów, a wtedy na statkach roją się tłumy. Zdarza się nieraz, że nie tylko na pokładzie, ale i w kajutach niema wolnych miejsc. Co prawda, to nie przyjemniejszego, jak taka podróż statkiem parowym, oczywiście w pię-

kną pogodę, gdy można siedzieć na pokładzie, gdy po drodze ciągle się ma nowe widoki, nowe wrażenia, nowych pasażerów; bo na każdej stacyi, ile razy statek przybije do brzegu, zawsze jedni wysiadają, drudzy wsiadają. Samo życie na statku parowym, czy to w kajutach, czy na pokładzie, bardzo jest urozmaicone. W kajutach, urządzonych z przepychem, z pięknymi salonami do czytania i... flirtowania, z bogatemi „sales à manger“ o zbytkownie nakrytych stołach, przybranych świeżymi kwiatami, zapomina się, że się nie jest na lądzie, w jakim wytwornym hotelu, bo statek płynie tak spokojnie, iż nie czuje się najmniejszego bujania lub trzęsienia: tyle tylko, że przez otwarte okna słychać szum spienionej, rozbijanej kołami wody. Jednostajność podróży — o ile podróż statkiem po jeziorze Genewskim może być nazwana jednostajną — urozmaicają dzienniki w „Salon de lecture“, pisanie kart pocztowych, których można dostać na statku, oraz pierwszorzędną i wcale nie droga kuchnię, co zwłaszcza przy kilkugodzinnych podróżach, wcale nie jest do pogardzenia. Ale najwięcej czasu spędza się na pokładzie, pod wielkim dachem płóciennym, rozpiętym nad pokładem pierwszej klasy, a chroniącym od słońca, które tylko pasażerów drugiej klasy, na przedniej połowie statku, grzeje aż do zbytku. Prócz ławek przy baryerze i w poprzek pokładu, nie brak tu — w cieniu owego płóciennego dachu — i mnóstwa składanych krzesełek i foteli, na których siedzi się bardzo wygodnie. Jedni siedzą i tylko napawają się cudownymi widokami, inni czytają książki lub gazety (angielski „Times“ i „Standard“ widuje się najczęściej), nie brak i młodych gruchających par, bądź oddanych t. zw. „sezonowemu flirtowi“, bądź odbywających podróż poślubną, a jeśli tylko statek jest większy, zawsze podróż uprzyjemnia — lub unieprzyjemnia — wędrowną drużyną śpiewaków włoskich, która naprzód śpiewa różne neapolitańskie barkarole i kanzony, a potem wysła jednego ze swych członków, który z kapeluszem lub talerzem w rękę obchodzi wszystkich podróżnych i zbiera miedziane, a czasem i srebrne datki.

Wsiadłszy w Vevey na statek parowy pospieszny o godzinie 7-ej rano, jest się na 10-tą w Genewie. Śliczna od strony jeziora, nadzwyczaj czysta i bogata w piękne budowle, gdy się chodzi po jej ruchliwych ulicach, dzisiejsza Genewa znacznie się różni od tej, jaką znamy z listów Słowackiego, który tu mieszkał od r. 1832-go do 1835-go. Wówczas było to istotnie „miasto czarne i posępne“, otoczone murami, których bramy zamykano o 10-ej wieczorem, tak, iż w nocy nie było sposobu dostania się do miasta lub wydostania się zeń. „Genewa — pisał o niej wkrótce po przyjeździe tu Słowacki — mniejsza jest prawie od Krzemieńca, tylko domy są stare i wysokie. Możecie sobie wystawić, jak jest małą, kiedy pomimo największej drogocności mieszkań, liczy tylko do 24,000 mieszkańców... Teatr tutejszy szkaradny, albowiem wielu jest metodystów w arystokracji, którzy teatr za zakazaną rzecz uważają. Obyczaje genewskie zadziwiają: nigdzie niema mniej intryg, ale wiele jest plotek, jak zwyczajnie w małym mieście. Zwyczaj tu jest, że panny same cho-

dzą po ulicach, zwyczaj także, że przed po-
braniem się, młodzi ludzie kochają się po lat
dziesięć, słowem, wiele tu złud trwa dotąd,
i z tego względu miasto dziwną ma postać
moralną. Dziwię się jednak, że je cudzoziem-
cy tak lubią. Arystokracja tutejsza, złożona
z kupców i zegarmistrzów, nudna bardzo i płas-
ka... Nie uwierzysz, Mamo, jak coś dziwnie-
go jest w głosie tutejszych zegarów (miej-
skich). Niektóre dzwonią zwolna i ponuro,
inne wybijają coś naksztalt uciętego kuranta,
ulubioną zapewne piosnkę jakiegoś zegarmi-
strza, który przed stu laty ją śpiewał i po-
tem śpiew swój wszczepił w starą wieżę ko-
ścielną. Więc dziś zegarmistrz w grobie spo-
czywa, a wieża powtarza co godzinę jego ulu-
bioną piosenkę. Ludzie, którzy tutaj się uro-
dzili, muszą być smutni, ile razy oddalają się
tak daleko, że już tej pieśni nie słyszą... Na
horyzoncie wysoko wznosi się Mont-Blanc
śnieżny, lekko jak chmura skreślony, czasem
wiankiem białej chmury okryty... Nowo wy-
budowany most przez jezioro (u ujścia szu-
miącego Rodanu) jest tu teraz modnym spa-
cerem tutejszych mieszkańców. Na pięknej
wysepce, połączonej małym mostkiem z wiel-
kim mostem jeziora, zrobiono prześliczny ogró-
dek, przechadzkę, i postawiono statuetkę Russa.
Opisany tu przez Słowackiego most, „Pont du
Mont-Blanc,” istnieje aż po dziś dzień, podo-
bnie, jak i owa Pradierowska statua Russa
na małej wysepce, ale po za tem zmieniła się
Genewa do niepoznania: z dawnych murów
nie pozostało ani śladu, na miejscu „starych”
domów i wąskich ulic, stanęły wspaniałe bu-
dowle, olbrzymie gmachy publiczne, urocze
pałace i wille milionerów, bo milionerów miesz-
ka tu ni mniej ni więcej, tylko 216 (jak po-
daje dobrze poinformowany Baedeker). A że
miasto jest bardzo bogate, więc wszystkie o-
statnie wyniki kultury widzi się tu zastoso-
wane na każdym kroku.

Skoro się zwiedziło wszystkie osobliwości
Genewy, a więc wspaniałą „Quai du Mont-
Blanc” nad jeziorem, prześliczny „Jardin An-
glais,” starą gotycką katedrę, ratusz, arsenał,
ogród botaniczny, uniwersytet, teatr, galerie
obrazów w Musée Rath, oraz przepyszny Vi-
ctoria Hall, ma się ochotę poznać *de visu* prze-
dewszystkiem miejscowość Paquis, tak dobrze
znaną z listów Słowackiego, trudno bowiem
nie myśleć o Słowackim, kiedy się jest w Ge-
newie. „Dom, w którym mieszkam (pisał Sło-
wacki do matki bezpośrednio po swym przy-
jeździe do Genewy i po wprowadzeniu się do
pensjonatu pani Pattey), stoi w ogrodzie, *za
miastem*, wysoki na trzy piętra, szary, z zie-
lonemi okiennicami. W ogrodzie najwięcej
jodeł i sosen, o kilkadziesiąt kroków jezioro
Genewskie, którego jednak dla innych *wiej-
skich* domów z okien nie widać.” Dzisiaj, po
zburzeniu murów, które dawniej otaczały Ge-
newę, i wobec niesłychanego rozrostu tego
najpiękniejszego z miast szwajcarskich, Pa-
quis łączy się z Genewą, stanowi z nią jedną
organiczną całość: tyle tylko, że ulice tu ma-
ją bardziej sielski charakter, że więcej tu
willi z ogrodami, aniżeli trzy i czteropiętro-
wych domów, że mniej tu sklepów, a za to
więcej pensjonatów, w których mieszka mnó-
stwo cudzoziemców, zwłaszcza Anglików i Ame-
rykanów. Z pensjonatu pani Pattey, w któ-

rym mieszkał Słowacki, jak w ogóle z całego
domu, w którym tworzył i kochał się, nie po-
zostało śladu. Jeszcze w r. 1874-ym, w cza-
sie pobytu swojego w Genewie, Seweryna Du-
chińska oglądała to domostwo w Paquis, któ-
re tak długo było mieszkaniem wielkiego poe-
ty, w którym rozegrał się dramat pomiędzy
nim a Maryą Wodzińską i Eglantyną Pattey,
w którym powstały takie arcydzieła naszej
poezyi, jak: „Lambro,” „Godzina myśli,” „Kor-
dyan,” „Horsztyński,” „Mazepa” i „Balladyna.”
W Genewie bowiem, w tym pokoiku z obi-
ciem w kraty zielono-karmazynowe, czuł Sło-
wacki ogromny przypływ poetyckiego natchnie-
nia, tu pisał i tworzył więcej, niż gdziekolwiek-
indziej.

„Całe długie wieczory (mówi w jednym z li-
stów do matki) trawiłem przez te dwa miesia-
ce na pisaniu; od kilku dni dopiero skończy-
łem moje prace, i teraz czuję pewną odrętwia-
łość. Zdaje się, że przez ten czas natężone
władze myślenia rozkręcają się teraz, jak stru-
ny jakiego instrumentu, i za kilka dni powró-
cę do zupełnej ciszy zwyczajnego życia. To
smutno! Już wieczorem żadne mary nie przy-
jdą mnie nawiedzać, żadna idealna piękność
nie uśmiechnie się do mnie, a tyle idealnych
figur przeszło przez mój pokój w ciągu tych
dwóch miesięcy. Niektóre wyszły przez okna,
inne spaliły się w żarze kominka, inne na-
reszcie zostały zasuszone w papierze, jak bra-
tki albo inne kwiatki niepełne.”

Dziś miejsca nawet, gdzie się znajdował pen-
sjonat pani Pattey, ani tembardziej owej
stancijki poety, przez którą przesunęły się „ide-
alne figury” — „Lambra,” „Kordyana,” „Bal-
ladyna” i „Mazepa,” odszukać niepodobna. Ale
to nie jest żadną przeszkodą, że od chwili,
kiedy, minawszy „Place des Alpes,” wstępuje
się na ładną i jakby uśmiechniętą „Rue de
Paquis,” wciąż się ma przed oczyma duszy
drobną postać „bladego Juliusza,” bądź zdą-
żającego do Genewy do „Salon de lecture,”
gdzie chodził czytywać gazety, bądź pijącego
wszystkimi zmysłami „poezyę wiosny i szwaj-
carskiego powietrza” w lipowej alei ogrodu
pani Pattey, bądź obrywającego stokrótki z za-
kochaną w nim Elizą Morin, bądź prowadzące-
go poważne rozmowy o literaturze z inteli-
gentną Eglantyną Pattey, bądź wsłuchujące-
go się w pełną uczucia grę na fortepianie
Maryi Wodzińskiej, którą miał z czasem u-
nieśmiertelnić w poemacie „W Szwajcaryi,”
apoteozującym tę genewską epokę jego życia.
„Dziś już to snem jest,” jak gdzieś powiada
sam Słowacki: prochy jego od półwieku już
spoczywają na paryskim cmentarzu Montmar-
tre, ale wspomnienie jego, niby duch, unosi
się nad Paquis, towarzyszy każdemu inteli-
gentnemu Polakowi, co, świadom przeszłości,
przechadza się po wspaniałym Quai du Mont-
Blanc lub po bardziej wiejskim Quai du Le-
man. I Słowacki nieraz błędził po tych wy-
brzeżach, tylko że wówczas nie było jeszcze
tych granitowych bulwarów, nie śniło się ni-
komu o tramwajach elektrycznych, o samo-
chodach, o rowerach, które tu nieco psują
wszelki nastrój poetyczny... Przechadzając się
po tych bulwarach nad jeziorem, w okolicy
eskapady „Jetée des Paquis,” myśli się o tym
dramatycznym poranku w życiu Słowackiego,
kiedy to poeta, po balu u Wodzińskich, po-

drażniony obojętnem a jednak wyzywającym
zachowaniem się jego „czarnobrewą panią,”
znalazł się nad jeziorem, wzburzony i smu-
tny, z sercem szarpanem miłością i zwątpie-
niem. „Znużony tym wieczorem (pisał w kil-
ka dni później do matki), zaduchem salonów,
blaskami lamp... wyszedłem przed wschodem
słońca na brzeg jeziora. Ciche były wo-
dy, jak błękitne zwierciadło; rybki wyskaki-
wały na wierzch. Tak mi się zdawały weso-
łe te rybki, które noc całą przepędziły w ci-
chej wodzie i nad rankiem pluszczą się i szu-
kają świeżego powiewu. Coś w tem życiu
rybek było bardzo sprzecznego z huczną no-
cą człowieka. Marzyłem, patrząc na czerw-
niące się niebo. Jakies biedne kobiety przy-
szły prać bieliznę nad jeziorem, grablami naj-
przód odgarnęły mul brzegowy i kamyki,
a potem rozrzuciły kosz cały prostej, czarnej
bielizny. Nie wiem, dlaczego, ale to prozai-
czne zatrudnienie ludzi dziwnie mnie wzru-
szyło, mnie, ubranego w balowy stroju. Zmysł
moje, rozigrane, zdolne były do przy-
mowania najmniejszych wrażeń; spostrzega-
łem okiem prawie łzawem sprzeczności mię-
dzy celami życia różnych ludzi! myć bieliznę
albo patrzeć na wschód słońca i topić się w ma-
rzeniach! Po jakiej ogromnej drabinie te za-
trudnienia musiały wchodzić i schodzić, aby
się spotkać na środkowym szczeblu! Prawda,
Mamo, że najszcześniejsze rybki, które poły-
skiwały srebrną skrzela w chłodnej wodzie.
Widziałem wschodzące słońce: stanęły mi
w oczach te poranki, które przepędziłem na
szczytach gór Alpejskich, patrząc na to samo
słońce, wschodzące niżej odemnie. Ty sobie,
Mamo, wystawić nie możesz, co to jest pa-
trzeć ze szczytu Rigi albo Faulhorn na wschód
słońca. Świat zdaje się pod nogami. Ten
sam chłód, który przenika na szczycie gór,
rodzi w umysłach jakąś drażliwość. Płakałem
na Rigi: rozczulała mnie cichość i małość chat,
rozsianych po górach i dolinach, między zwier-
ciadelkami kilkunastu jezior! Gdyby nie by-
ło na świecie poezji, to ta sama myśl, że
człowiek, który, chodząc po ziemi, zebrał tyle
jasnych i zachwycających obrazów i z niemi
do grobu pójść musi, urodziłyby ją...” Piszac
o tych zachodach słońca, oglądanych ze szczy-
tów alpejskich, miał tu Słowacki na myśli
wycieczkę swą w Alpy Berneńskie, odbytą
w sierpniu r. 1834-go w towarzystwie rodzi-
ny Wodzińskich, wraz z ową „czarnobrewą
panienką,” która wtedy była panią serca przy-
szłego twórcy poematu „W Szwajcaryi.”

(Ciąg dalszy nastąpi).



Co kobiety czytają.



Sto razy już pewnie mówiono, pisano o tem,
co i jak czytają kobiety najchętniej. Napada-
no nie tylko na gwałtowną chciwość, z jaką
rzucac się umieją na nowe książki, lecz i na
wybór, często złe skutki prowadzącej le-
ktury.

Dlaczego właśnie miano wiecznie coś do za-
rzucenia w tym względzie słabszej połowie ro-

du ludzkiego, z kądem budzi się obawa, że jedynie, specjalnie dla tkliwej duszy kobiecej źle wybrana lektura może stać się zgubną, tego nie rozumiem. Były przecież okresy w literaturze, weźmy na przykład epokę Byrona, — które nierównie silniejszym wpływem zaznaczyły się na mężczyznach, niż na kobietach. Dziś, co prawda, wpływ literatury na ród męzki staje się coraz trudniejszy, lecz dzieje się to z tej przyczyny, iż nieustająca walka o byt i gorączka zdobywania jaknajwiększych zysków, nie pozostawiają ogółowi pracujących mężczyzn dostatecznego czasu na zajmowanie się czy to uszlachetniającą, czy to niezdrową literaturą. Większość mężczyzn, zajętych zdobywaniem kawałka chleba i zapewnieniem bytu dla siebie i dla swych rodzin, — (z wyjątkiem tych, dla których czytanie i uprawianie literatury łączy się z ich zajęciem i powołaniem,) większość mężczyzn oddanych pracy, czyta dziś prawie jedynie dzienniki i specjalne, odnoszące się do danego zawodu pisma. Kobiety więc, które w ogóle stoją zdala od gorączkowego, zewnętrznego życia, nierównie gorliwiej uprawiają czytanie a przez wiele właściwości, jakie w charakterze ich złożyła natura, jako i przez odsunięcie od nich owego zewnętrznego życia, zachować mogą niesłabnącą skłonność do idealizmu i poezji.

Dziedzina czytania dla kobiet, to wspaniały ogród, w którym obok niepozornych, aczkolwiek wielce pożytecznych roślin, wykwitają świetne kielichy, roznoszące daleko woń słodką i upajającą, gdzie tysiące kwiecie mile oko nęci, lecz gdzie i pod postacią przedziwnych barwy i formy chowa się trucizna. Dla świetnych kwiatów nowoczesnych, dla mistrzowskich opowieści, kobiety zapominają o skromnych pożytecznych, nierzadko siły i zdrowie niosących roślinach, na czytanie książek o poważnym, naukowym podkładzie nigdy prawie nie znajdują czasu. Da się to łatwo tem wytłómaczyć, że kobiety, ogólnie biorąc, niechętnie czy niezdolne do zagłębiania się w poważne idee filozoficznej lub społecznej treści, albowiem w trudne zagadnienia nauki, uważają czytanie, jako źródło łatwej i przyjemnej rozrywki. Rozumie się, że ku temu celowi służą najlepiej zajmujące, sensacyjne romanse, albowiem utrzymują wyobraźnię czytającej w ciągłym naprężeniu. Jeśli zaś obok zrywania świetnie ubarwionych kwiatów romansowych opowieści, kobieta schyli się czasem po wonne kwiecie czystej poezji, czyni to czasem z istotnej potrzeby odczucia nia przez chwilę, częściej atoli dlatego, żeby w tej dziedzinie literatury znajdować się *au fait* wybitniejszej nowości. Takim jest zdanie pesymistów.

Inaczej przedstawi nam się to surowe orzeczenie, jeśli weźmiemy pod uwagę charakter kobiety, warunki, w jakich żyje, jej przyzwyczajenia, i jeśli zrozumieć zechcemy, że wybór czytania od tego zależnym być musi. Nie chodzi tu koniecznie o przesadnie pojmowaną sensację, o niezdrowe podniecanie wyobraźni, lecz jeśli przez czytanie kobieta ma doznać duchowej rozkoszy i rozrywki, to zawsze bardziej szukać będzie czegoś ku zadowoleniu silnie w niej rozwiniętych stron uczuciowych, aniżeli zasilania umysłu poważną wiedzą. Jasnem więc jest, że przekłada czytanie dzieł, które jej tego zadowolenia dostarczyć są w mo-

cy i przede wszystkim szpera w literaturze pięknej, w romansach i poezjach, — pierwsze zwłaszcza zapewniają czytelniczce żywą i miłą rozrywkę, co do poezji bowiem, zdarza się często, że i najwrażliwsza na piękno dusza kobiega, nie może w pośród drobiazgowych kłopotów codziennego życia, zdobyć się na pewne skupienie, dla odczuwania poetyckiego natchnienia niezbędne. Po dniu męczącej, domowej pracy, po spełnieniu wszystkich swych obowiązków, które aczkolwiek pojedynczo przedstawiają się arcy drobnymi i mało uciążliwymi, razem wzięte stanowią pokaźną sumę pracy, przeciętna kobieta nie może zawsze, nie może nawet często odczuwać potrzeby czytania dzieł poważnej, naukowej treści, które wymagając skoncentrowanej, niekiedy wyteźonej uwagi, nie byłoby żadnym odpoczynkiem dla nerwów, podrażnionych przy gospodarskich zajęciach, utrudnionych niejednokrotnie bądź to przez nieudolność służby, bądź przez inne, od nas samych niezależne przyczyny. Nie dziwny się więc kobietom, że pragną znaleźć odpoczynek i rozrywkę w łatwo zrozumiałym świecie pojęć, w odczuwaniu wzruszeń poruszających ich serca, w zajęciu, rozbudzonem losem ludzi, w około których gromadzą się barwne, szybko zmieniające się obrazy, wywoływane talentem twórczym dobrego powieściopisarza.

Po wsze czasy bywały i tak samo dziś bywają kobiety, stanowiące wyjątek w powyższej, ogólnej regule, a którym tylko bardzo poważne czytanie dostarczyć może odpowiedniej rozrywki, albowiem ich wysoce wykształcony i nawykły do krytycznego myślenia umysł, bierze górę nad uczuciem i wyobraźnią. Bywają też wszechstronnie od natury uposażone, które czytają wszystko, i wszystko czytać umieją na obraz i podobieństwo Germaine'y Necker, późniejszej pani de Staël, która jako dorastająca panna czytała wszystko, co jej tylko popadło w ręce, romanse, tragedye, naukowe dzieła, polityczne mowy, dzienniki, i ze zdumiewającą jasnością umiała w umyśle swym gromadzić całą encyklopedyę wiedzy. Przypominam sobie, że czytałam w życiorysie Charlotty Brontë, (autorki znanej na świat cały powieści, «*Johanna Eyre*»), o jej zdumiewającej łatwości czytania dzieł najrozmaitszej treści bez żadnego doboru. Zapytana, którą książkę uważa za najbardziej zajmującą, odpowiedziała, mając wówczas lat 15: — «*Biblię i — naturę.*» Widzimy więc, jak wczesnie budzi się w duszy wybranej, wysokimi zaletami obdarzonej kobiety, potrzeba obfitego pożywienia dla mózgu i serca i że w tak wyjątkowych wypadkach nawet brak doboru przeczytanych książek prawdziwie zdrowemu duchowi szkody nie przynosi.

W literaturze naszej mogłabym wyliczyć cały zastęp kobiet, których książkowa wiedza jest wprost zdumiewająca — lecz mówimy tu o zwykłej, przeciętnej kobiecie, która chwile wolne od zajęć pani domu, żony, matki, od obowiązków towarzyskich, nieraz, gdy środki na to pozwalają, nader licznych poświęcić ma na czytanie.

Przyjąć musimy za zasadę, co zresztą, nie jest rzeczą nową, że pewien dobór czytanych przez kobiety książek, szczególnie zaś gdy chodzi o młode pokolenie, jest konieczny. Nadto dobór ten powinien być zastosowany do umysłowego i moralnego podkładu czyteln-

czki. Nawet tak niewinne, pełne fantazyi — a zawsze na szlachetnym gruncie oparte, powieści Ouidy, stają się niebezpiecznym czytaniem, gdy niedojrzałe, egzaltowane główki rozumieją je fałszywie i dadzą się unosić marzeniom i złudzeniom zwodniczym. Podobne złudzenia, szybko zazwyczaj rzeczywistością surową rozwiane, łatwo doprowadzają do niezadowolenia, dalej — do pesymizmu.

Powracając do naszego porównania lektury uprawianej przez kobiety z ogrodem, pełnym barw i woni, zgodzimy się na to, że im słabsze są nerwy tej, która kwiaty zrywa, tem jaśniej zapach silny odurzy i świetne barwy olśnią.

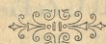
W naszych czasach, kiedy kobiety dążą do zdobycia coraz doskonalszej harmonii między rozwojem uczuć i umysłu, kiedy się przed nimi otwierają coraz rozleglejsze horyzonty pracy i działania, kiedy się rozświetlają i rozszerzają ich pojęcia, podnosi poziom ogólnego ich wykształcenia, samo z siebie wypływa, że czytanie w życiu kobiety, aczkolwiek zawsze uważane głównie za miłą rozrywkę, schodzić jednak powinno stopniowo, chociaż w części, na takie dziedziny, iżby w duszy czytającej rozwijało, jeśli nie zamiłowanie do poważnych studyów, to w każdym razie, poczucie dobra i piękna. Tomy zapisaćby można o tem, co i w jakich chwilach kobieta jako odpowiednie czytanie wybrałaby powinna i myślę, że niejednokrotnie jeszcze powrócimy do tego przedmiotu.

Kobieta naszych czasów przez samą praktyczność, do jakiej zmuszają dziś każdego warunki bytu, musi mieć na względzie wymagania dzisiejsze i nie zapominać o tem, jak wiele pożytecznych roślin znajduje się w bujnym ogrodzie literatury.

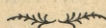
Nie wyklucza to bynajmniej romansu czy powieści z pierwszorzędnego stanowiska w lekturze kobiety. Powieść, rozumie się dobra powieść, dostarczać jej będzie zawsze jednej z najmiłszych i najlepszych rozrywek, poruszy w niej wznioślejsze uczucia, dopomoże niejednokrotnie do zapomnienia o troskach i zmartwieniach, które nikomu nie są oszczędzone, zbudzi czasem myśl, która może na zawsze pozostać jej daleką, zapozna z typami, o których nie miała pojęcia, nauczy kochać istoty, żyjące w idealnym świecie i ją samą ku ideałowi podniesie.

Słusznie powiada pani Alving w «*Widmach*» Ibsena, mówiąc o wpływie, jaki na nią wywierają zawsze jej ulubione książki. «*Czujemy, jak spokój na nas spływa.*»

Zofia Seidler.



PRAWA KOBIET.



„Gazeta Sądowa“ poruszyła niedawno starą, lecz dotychczas jeszcze nierozwiązaną sprawę wielkiej niesprawiedliwości prawa spadkowego, według którego siostry dziedziczą jedynie czternastą część nieruchomości majątku rodziców, a ósmą — ruchomego; w razie jeśli są bracia, a w liniach bocznych siostry przy braciach i ich potomkach, nie posiadają wogóle praw spadkowych. Zupełnie inne jest położenie kobiet w gu-

berniach nadbałtyckich: tutaj siostry i bracia i wogóle krewni poboczni dziedziczą „bez różnicy płci.“

Według estlandzkiego prawa ziemskiego w ciągu roku od dnia śmierci męża, spadek po nim (jeśli na nim poprzednio już nie położono aresztu) zostaje w zupełnym rozporządzeniu wdowy i przed upływem tego czasu nie może być ona zmuszana ani do regulowania swych długów, ani do prowadzenia procesów w sprawach spadkowych.

Według liflandzkiego prawa ziemskiego, wdowa posiada te same przywileje, z tą jedynie różnicą, że ów prekluzyjny rok zmniejszony jest do miesiąca (artykuł 1768). Wielki wpływ na prawa wdowy ma ta okoliczność, czy posiada dzieci, czy też nie. Tak, na przykład, według kurlandzkiego prawa miejskiego i ziemskiego, wdowa zostająca z krewnymi lub dziećmi, korzysta w ciągu roku z dochodów spadku zmarłego męża. Jeśli przed upływem tego wdowiego roku dzieci nie doszły jeszcze do pełnoletności, to majątek pozostały po mężu pozostaje w jej rozporządzeniu i ona też korzysta, bez obowiązku zdawania rachunków aż do czasu nowego zamężcia. Przystąpić do podziału może wdowa w każdej chwili, według swego upodobania i chęci, ale obowiązana jest do tego jedynie w ściśle przez prawo określonych wypadkach, a mianowicie: w razie wstąpienia w nowe związki małżeńskie i w razie, jeśli dzieci, doszedłszy do pełnoletności, po upływie wdowiego roku wymagać będą podziału. Wdowa bezdzietna, według praw kurlandzkich, w ciągu roku po jego śmierci ciągnie korzyści z całej sukcesji, nie będąc obowiązana przystępować do podziału, lecz z dochodów spadku obowiązana jest płacić procenty od sum wierzytelnych i ciężących na spadku powinności społecznych.

Aby dopatrzeć się całkowitej różnicy w stosunku prawodawcy do prawa dziedziczenia kobiet, nie trzeba wybierać się aż do Kurlandii — pisze „Gazeta Sądowa“, dosyć zajrzeć do gubernii Połtawskiej, gdzie utrzymało się aż dotąd w sprawie tej postanowienie dawno zniesionego Statutu Litewskiego, stworzonego jeszcze w XVI-yim wieku, który jednak okazał się w tej sprawie o wiele humanitarniejszym, niż mający obecnie moc obowiązującą X-ty tom Zbioru praw.

Jeśli sobie przypomnimy, że przed mężczyzną stoją otworem wszystkie pola działalności, służbowe i profesjonalne, dające mu możność zarabiać na utrzymanie, to trudno nie podzielać zdania „Gazety Sądowej“, aby nowa wszechrosyjska ustawa cywilna przyswoiła sobie zasadę równouprawnienia kobiet w sprawach spadkowych z mężczyznami. Zasada zaś tomu X-go, że w liniach bocznych siostry przy braciach nie dziedziczą wcale — jest wysoce niehumanitarną i nie odpowiada warunkom społeczeństwa współczesnego, w którym kobieta często o wiele więcej potrzebuje pomocy materialnej, niż mężczyzna.

P. W.



Z TWÓRCZEJ NIWY.



Wincenty Kosiakiewicz: „Poezye.“ Warszawa, 1901, nakładem „Księgarni polskiej“ J. Sikorskiej, str. 104.

Tomik nie duży, wiersze krótkie, ale wszystkie warto odczytywać tyle razy, aż się je na pamięć nauczy; przyszkolby to zresztą czytelnikowi bez wielkich trudności, bo te zwrotki, choć często bardzo kunsztowne, toczą się łatwo, grają jakąś melodią śpiewną, która chwytą serce i ucho, błyszczą, jak małe, oszlifowane brylanty.

Cicho, bez rozgłosu, bez reklamy i szumnych zapowiedzi wysunął się zbiorek poezji Kosiakiewicza i nie poszedł prosić po redakcyach o „życzliwą wzmiankę,“ ani po krytykach o „łaskawą ocenę,“ więc może dlatego zostawiono go na uboczu, nie pisano o nim całych feljetonów i nie raczono zauważyć skromnej książeczki, niepozornej jak bukietik fiołków, ale pełnej zarazem prawdziwej woni, którą roztacza tylko prawdziwa poezja.

I niesłusznie się stało, nie po raz pierwszy u nas, i nie ostatni, że pominięto takim milczeniem rzeczywisty talent i twórczość nowego poety-liryka, który odsłonił się nagle w Kosiakiewiczze noweliście i powieściopisarzu, skoro tak często przesławia się i rozgłasza nader wątpliwej wartości «zjawiska» na horyzoncie naszej literatury współczesnej.

Gdyby bezwzględna sprawiedliwość obowiązywała krytykę, wówczas mała książka w zwykłej żółtej okładce, bez secesyjnych smoków i potworów, powinna być stanowić odkrycie i niespodziankę dla znawców i miłośników poezji; odkrycie dlatego, że przybył nowy pieśniarz z Bożej łaski, z uczuciem i natchnieniem, z nastrojem bardzo indywidualnym, — a niespodziankę z powodu osobistości samego autora, który przez lat kilkanaście pracował na poczesne stanowisko i uznanie, jako belletrysta, pisał dotąd tylko prozą a dopiero w trzydziestym dziewiątym roku życia spróbował pisać wierszem, ale wierszem pod względem formy od razu tak misternym i wyrobionym jak gdyby go od najwcześniejszej młodości cyzelował i doskonalił.

Kto krytycznie czytywał pierwsze utwory Kosiakiewicza, pomieszczone w feljetonach «Gazety polskiej» za czasów, gdy je redagował taki znawca talentów i smakosz literacki, jak Dionizy Henkiel, ten musiał spostrzedz to koniecznie, że w tym pozornym realiście, który z taką drobiazgową obserwacją a zarazem prawdą i prostotą malował małe obrazki z życia codziennego, tkwił poeta, umiający głęboko odczuwać i serdecznym ciepłem ogrzewać swoje tematy. «Niebieska sukmana,» «Literatura mojej żony,» «Nasz mały» i tyle innych jego nowel lśniło się przeblaskami życiowej poezji, której nie zauważy nabystrzejsze nawet oko badacza natury ludzkiej i duszy człowieka, jeżeli autor nie potrafi sam odczuć jej wrażliwym sercem urodzonego poety i artysty.

Nie tyle też talent i indywidualność Kosiakiewicza w nowym rodzaju jego twórczości, ile skończona forma godne są podziwu; ten prozaik z żywym, błyszczącym, malowniczym a treściwym stylem, z dnia na dzień niemal przeobraził się w rymopisa, który rymuje wytwornie i włada wierszem z taką swobodą, że nie ustępuje w tej sztuce najlepszym swym poprzednikom.

Jak i dlaczego to się stało, pozostanie tajemnicą prawdziwego talentu i twórczej natury autora, kroczącego w swoim rozwoju pisarskim odmienną drogą, niżeli wszyscy inni belletryści. Każdy ze znakomitszych powieściopisarzy i belletrystów rozpoczynał od mniej lub więcej udatnych poezji, które następnie ustępowały prozie zupełnie i pozostawały «grzechami młodości,» ukrywanymi na spodzie autorskiej teki, lub zagubionymi

w książkowych zbiorach, znanych tylko bibliografom. Tutaj mamy wypadek odwrotny, — prozaik belletrysta ze sporym już dorobkiem pisarskim przerzuca się na pole poezji i zaczyna sam sobie robić konkurencję.

Oryginalne to i ciekawe przeobrażenie w wieku zupełnie dojrzałym.

Na pierwszej karcie swego zbiorku autor tłumaczy się niejako z tej ewolucji czytelnikowi, powiadając:

«Rozpacz dni długie krwawą żarła mi paszczką, ciskała mną po świecie, jak wiatr liściem ciska, czyniła bezlitosne z mej duszy igrzyska, nękała duszę mężką bezlitosną męką, łamała wyciągnięte do obrony ręce, szalała w buncie, który świętość gwiazd znieważa, kładła się w cichem łkaniu u stopni ołtarza, — aż wylała się w prostej, kojącej pio-sence.»

Aus meinen grossen Leiden, mach' ich die kleinen Lieder, — przyznawał się największy z liryków niemieckich, Henryk Heine, i w tem właśnie była cała tajemnica uroczej jego poezji, która musiała w pierw przejść przez zmie-te, zbolełe, zakrwawione serce, by spłynąć kryształową łzą, błyszczącą tak często jaskrawym promykiem ironii lub szyderstwa nad samym sobą.

Jest to także rys bardzo znamieny i na korzyść twórczości poetyckiej Kosiakiewicza świadczący, że w pierw kochał, cierpiał, walczył, przebolewał dużo, zanim śpiewać zaczął, w przeciwstawieniu do tych młodych bardów dzisiejszej doby, którzy *à conto* płaczą i wzdychają, pluja żółcią i goryczą, wprawiają się w jękach i rozpaczach, zanim z życiem swe roczne skończą obrachunki.

Poezya ich, pesymizm, niewiara, zniechęcenie otwierają sobie szeroki kredyt u życia i losu, nadużywając go bez naruszania własnego kapitału uczuć.

Oto dlaczego też tak rzadko wierzy się w szczerość tych wyrzekań, jęków i wzdychań bladych trubadurów teraźniejszości, ze sztucznie rozczochanym włosom i grymaśniami skrzywionymi ustami!...

W poezjach Kosiakiewicza zaś uczuciowość jest podkładem natchnienia, a szczerość istotną zaletą jego pieśni, które świecą czasem, jak błyskawice po burzy, śmieją się czasem, jak kwiaty do słońca — na świeżych mogiłach, błyszczą jak krople rosy wieczornej po dniu upalnym; ale to znać, to czuć, że poeta jakąś burzę przetrwał, coś drogiego i ukochanego rzeczywiście w grobie złożył, w znoju i męce przedyszał nie jeden dzień życiowej speki.

Naturalnie, iż ten wdzięczny ton, bez którego nie może się odezwać żadna poetycka luttia, ton miłości, i to zawiedzionej, i to nieszczęśliwej, daje główny nastrój lirykowi, rozbrzmiewa w jego melancholii i tęsknocie, w jego szyderczych lecz bolesnych uśmiechach. Historia tej miłości odwieczna i po wieki jednakową będzie: pokochali się, — rozstali się, jedno za drugim tęskni i wzdycha z rozpaczą lub rezygnacją, jedno pisze liryki a drugie je czyta i... płacze w ukryciu, albo się uśmiecha sceptycznie.

A jednak: „Kiedy czarownik przejdzie twoją drogą, napróżno targałbyś siły — złamać czar bowiem usta tylko mogą, które go na cie rzuciły.

«Tak serce moje — ludzie z duszą twardą, których ból, łza nie przejedna, — napełnić mogą żalem albo wzdargą, złamać je — możesz ty jedna!...»

Erotyzm i egotyzm cechują jeszcze najczęściej liryczne pieśni autora; możnaby mu z tego zrobić zarzut, gdyby to autorskie «ja» było szare i pospolite, nie wyróżniało się silniejszą, indywidualną cechą; wtedy, jak to się często zdarza, czytelnik mógłby sobie powiedzieć:

— Ostatecznie, co mnie obchodzą męki, cierpienia, zgryzoty i jęki jakiegoś pana, zawiedzionego w miłości, który krzywi się tak samo w płaczu, jak tysiące innych mazgajów a skomle do zniecierpliwienia!.. nasłuchiwał się tego dosyć; cicho tam!..

Inaczej jednak ta historia miłosna rozbrzmiewa, gdy się nią odzywa szlachetniejsze serce i niepospolita dusza; choćby po raz tysięczny słuchało się tej samej historii, będzie ona dla wrażliwego słuchacza nową i zajmującą. *Es ist eine alte Geschichte und bleibt doch ewig neu*, jeżeli ją opowiada prawdziwy poeta z talentem. A tu właśnie ten wypadek zachodzi, na szczęście.

Kosiakiewicz ma tę zaletę, że w lirykach swoich jest indywidualny i szczery, umie zresztą się streszczać i unika tej gadatliwości serca, które rozwadnia, rozciąga do nieskończoności swoje treny, zajmujące najbardziej dla samego autora; pod tym względem ma on pewną wspólność z Heinem, Musset'em i Asnykiem, którzy go przerastają talentem wprawdzie, ale od których nauczył się być zwięzłym i treściwym w wyrażaniu uczuć a malowniczym w ich obrazowaniu.

Cały zbiorek składa się przeważnie z wierszy krótkich, urywkowych, zaokrąglonych w myśli i formie; dwa tylko niezmiernie oryginalne i dobrze świadczące o fantazji, oraz szerszem tchnieniu pieśniarza, wyróżniają się większymi rozmiarami, to: „Zakochał się dyabeł w suchej wierzbie” (rzecz wzorowana na E...lyego «Wierzbie na pustkowiu») i «Fauny».

Kosiakiewicz posiada wybitną zdolność poetyzowania pospolitych, realistycznych na pozór motywów i to mu nadaje jakąś odrębność talentu w treści i formie; jest dobrym realistą i plastykiem w powieści, to samo cechuje go, jako poetę. Dość spojrzeć na jego dyabła, targającego się w miłosnych męczarniach dla tej nieczulej, która: «Z pustem wnętrzem bez łona, na głos słońca już głucha, nagie wznosi ramiona, wierzbą niską, skłębioną i suchą; nad wód stoi przezrocza, czarne wokół niej krzaki, wieczne noce ją mroczą, suche piersi jej toczą robaki...»

W «Faunach» iścic Boecklinowski obrazek nakreślił autor, klasyczne figury zabarwiając modernistycznie; umie jednak niekiedy w takim szlachetnym stylu dźwięknąć jednym akordem na greckiej lutni, jakby u Anakreonta uczył się o struny trącać.

«Trumnę z mym prochem złożcie w pieczarę podziemną; niech da krew na ofiarę gołębicą białą a krzak akanty cienie niech kładzie nademną, — Phillis rozjaśnić dni mych uśmiechem nie chciała, może chociaż łza zrosi dziś noc moją ciemną...»

Bezwiednie, bo nie przypuszczam, aby z samochwalczym rozmysłem, w tym pierwszym zbiorze dał nam poeta próbki rozmaitych ro-

dzajów, do których jego twórczość jest zdolna; nie brak nawet piosnek na ludową nutę, które Laskowski podpisałby z chęcią bez namysłu, nie brak satyrycznych i patetycznych zwrotek, nie brak religijnych tonów i głębszych refleksji nad życiem i miłością, a przede wszystkim jest tyle szczerego liryzmu, że z kilku wierszy napełnić nim możnaby całe serce czytelnika.

«Przed ołtarzem złożonym klęczą ludzie prosci, — i ja wśród nich ukląknęł nędzny i złamany; pod wyniosłem sklepieniem drżą rzuwne organy, proste litanii słowa wołają liłości.

«Najświętsza stoi słodka pod kolumną grecką, na moją mękę patrzy smutnymi oczami, usta me powtarzają: zmiłuj się nad nami!.. i serce moje cichnie, jak splakane dziecko.»

Możnaby tych przykładów głęboko odczuć a pięknie skryształizowanej poezji przytoczyć niemal z każdej kartki zbioru, w którym ostatni dział: «Bez nadziei», wyodrębnia się najkunsztowniejszym opracowaniem i najsilniejszym wyrazem uczucia.

Pierwszy tomik poezji Kosiakiewicza to jednak dopiero wschód tej twórczości w nowym dla niego kierunku, ale jeszcze nie jej pełnia; odczuwa się instynktownie, że ten talent, który tak późno rozwinął skrzydła, zdolny jest do śmielszych i wyższych lotów, że poszybując w górę bardzo prędko i że w niedługim zapewne czasie da nam coś więcej, i coś jeszcze piękniejszego z dziedziny natchnienia.

I z tą nadzieją, z tą pewnością prawie witamy nowego pieśniarza, który przy pierwszym wystąpieniu na arenę okazał się już godnym wieńca i okłasku, jakiego inni po całych latach tworzenia nie zdobyli.

M. G.



Kronika działalności kobiecej.



— W uniwersytecie Zurychskim, p. Marya Lipszycówna, Krakowianka, otrzymała tytuł doktora nauk społecznych, za napisanie rozprawy: „Studia ekonomiczne o Galicyi, z uwzględnieniem sprawy robotniczej w przemyśle.”

— Doktor filozofii, panna Matylda Goldtlof, została asystentką przy botaniczno-gospodarczej stacji doświadczalnej we Lwowie.

— W Paryżu zawiązał się komitet, mający na celu utworzenie w roku bieżącym wszechświatowej wystawy pracy kobiecej, tak z dziedziny sztuki, jak i robót ręcznych. Wystawa ma w następstwie zamienić się na wystawę stałą, przy której komitet utworzyć zamierza odpowiednią szkołę i biuro sprzedaży.

— Pani Stamford, znana z dobroczynności amerykańska milionerka, fundatorka Leland-Stamford w Palo Alto w Kalifornii, przekazała miejscowemu uniwersytetowi grunt i kapitały, wynoszące 30 milionów dolarów. Jest to największy dar, jaki zakładowi naukowemu dotychczas ofiarowany został.

— W Uniwersytecie w Pradze dwie studentki złożyły egzaminy na stopień doktorów filozofii, panny: Marya Babor i Marya Fabian. — Miss Bradford Thomson, autorka, z wielką znajomością rzeczy napisanego dzieła: „Doświadczenia z psychologii,” została docentem przy katedrze tejże nauki w Hobyse-College w Massachusetts.

— Żona byłego ministra japońskiego, Hotogama, oświadczyła w publicznym odczytaniu, że: „już i japońskie kobiety przejrzały, — że tak samo jak postępowe kobiety innych krajów rozumieją, iż zadaniem kobiety nie jest jedynie być ozdobą męzowskiej siedziby, że i kobieta powinna brać czynny udział w życiu swego społeczeństwa i starać się być pożyteczną.”

Mało która z kobiet europejskich uczyniła tyle dla kwestyi kobiecej, ile uczyniła dzielna ta obywatelka japońska. — „Z nową Japonią zjawiała się też nowa kobieta,” — opowiada w swoich pismach pani Hotogama, — „przed dwudziestu laty znalazło się zaledwie kilka tak odważnych, iż przypuszczać śmiały, by sięgać wolno im było po prawo rozwoju ciała i duszy. Obecnie liczymy nowe kobiety już nie na tysiące, lecz na dziesiątki tysięcy i poszczycić się możemy poważną liczbą stowarzyszeń. Mamy: Stowarzyszenie pracujące nad ogólnym wykształceniem kobiet, — Stowarzyszenie ku ochronie zdrowia, — Stowarzyszenie wychowawcze, — Stowarzyszenie opieki nad opuszczonymi, biednymi dziećmi, — Stowarzyszenie wstrzeźliwości od opium, — Stowarzyszenie dozorczyń przy chorych, — Stowarzyszenie Czerwonego Krzyża, — Stowarzyszenie mające na celu reformę ubrania kobiet japońskich, — Biuro informacyjne i klub, połączony z szeroko rozwiniętą czytelnią.”

Można sobie wyobrazić, jak ciężką walkę z przesądami i z utartymi od wieków zwyczajami pani Hotogama przejść musiała, zanim doszła do tak zadziwiających zaiste wyników.

— Doktor medycyny, panna Gleis, jedna z pierwszych pionerek na polu pracy medycznej w Niemczech, została stałym lekarzem przy szpitalu dziecięcym w Freiburgu.

— Nagrodę Huga, 1,000 franków, za najlepsze dzieło z historii medycyny, Akademia medyczna w Paryżu przyznała za ostatnich lat pięć, doktorowi, pannie Melanii Lipińskiej z Warszawy, za pracę p. t.: „Historia lekarstwa od starożytności aż do naszych czasów,” z której wyjątki podaje nasze pismo. Nagrodzonej przysługuje prawo noszenia tytułu: „laureatki Akademii medycznej w Paryżu.”

— Stowarzyszenie postępowe kobiet w Chryścjanii, „Norsk kvindef agsforening,” naznaczyło na rok 1902-gi w lecie kongres kobiet, Skandynawek.

— W stanie Massachusetts, komisya połączonych stowarzyszeń kobiecych, podała prośbę o zrównanie praw kobiety jako matki, z prawami mężczyzny, jako ojca. Komisya żąda, żeby w razie śmierci ojca, matka uznana została za bezsprzeczną i prawomocną opiekunkę pozostałych dzieci.

— W Krakowie, w Towarzystwie prawniczem i ekonomicznem, dr. Zofia Daszyńska wygłosiła odczyt „O skutkach społecznych alkoholizmu.”

Z. S.

Treść numeru:

Przy kominku (pogawędka), przez Kazimierza Glińskiego. — Przysań, powieść współczesna, przez J. Terpiłowską (ciąg dalszy). — Nad modrym Dunajem (z poematu «Sobieski pod Wiedniem»), przez Deotymę (ciąg dalszy). — W ówier wieku po zgonie Narcezy Żmichowskiej, przez Wandę Żeleńską. — Z cyklu «Wizye» (wiersz), przez Jana Mori. — Nad wodą jasną i czystą... przez Ferdynanda Hoesicka (ciąg dalszy). — Co kobiety czytają? przez Zofię Seidler. — Prawa kobiet, przez P. W. — Z twórczej niwy, przez M. G. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz piąty powieści Ryszarda Henryka Savage p. t. «Nowoczesny korsarz.»

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycin 13). — Przepisy gospodarskie, oraz Tablica krajów.



ZIARNO

Najtańsze Pismo Tygodniowe Ilustrowane

WARSZAWA, NOWY-SWIAT 47.

w Warszawie

rocznie

rub. 4

kwartalnie

rub. 1

Prenumeratorowie otrzymują **bezpłatnie**, jako dodatek w ciągu roku **12 tomów podręczników popularno-naukowych** (180 — 200 stron), małych rozmiarów, w dogodnym formacie.

W dodatkach w roku 1902 znajdują się: Hygiena, Zoologia, Historia Polski, Geografia, Botanika, Astronomia, Biologia, Mineralogia, Architektura, Pedagogika, Fizyka, Meteorologia.

Na treść „Ziarna” składają się: Powieści oryginalne i tłumaczone. — Opowiadania historyczne. — Nowelle. — Poezye. — Podróże. — Artykuły z dziedziny nauk przyrodniczych, sztuk pięknych i ekonomii.

Z przesyłką pocztową

rocznie

rub. 5

kwartalnie

rub. 1 k. 50

Życiorysy. — Opisy miejscowości. — Wiadomości z chwili bieżącej i polityki. — Feljetyony w sprawach bieżących i społecznych i t. d., i t. d.

Ilustracje z chwili bieżącej, dotyczące objawów życia w kraju i zagranicą. — Krajobrazy, portrety, pomniki i zabytki przeszłości kopie dzieł sztuki.

Na żądanie Redakcja wysyła numera okazowe bezpłatnie.

1902 r.

MELOMAN

IV rok.

MIESIĘCZNIK NUTOWY.

poświęcony nowościom muzycznym swoich i zagranicznych kompozytorów.

Zamieszcza utwory klasyczne, salonowe; wyjątki z oper i tańce. Daje rocznie 200 stronnie nut dużego formatu. Każdy utwór drukuje się w oddzielnej okładce.

W roku 1902 obok cenniejszych nowości na fortepian, każdy numer zawierać będzie utwór do śpiewu i na skrzypce. Tym sposobem roczny komplet Melomana utworzy piękne album muzyczne, wartości według cen księgarskich przeszło 20 rubli.

Meloman odpowiada wymaganiom najbardziej postępowym, nadaje się bowiem znakomicie do zastosowania w celach popularnej pedagogiki muzycznej, może służyć wzorem dla studiujących kompozytore, lub jako biblioteka dla dyrektorów orkiestr i kapeli wojskowych, wreszcie dla wszystkich interesujących się literaturą muzyczną ostatniej doby.

Czasopismo dało w ciągu trzech lat 230 utworów (w tem 160 na fortepian) autorów jak: Borkowski B., Bursa St., Grosman L., Konopasek F., Kowalski H., Maszyński P., Michałowski A., Moszkowski M., Münchheimer A., Noskowski Z., Paderewski I., Rzepko W., Żeleński W., i wielu innych; zagranicznych: d'Albert E., Du Bois T., Godard B., Grieg E., Grünfeld A., Lack T., Longo A., Massenet I., Reinecke K., Sgambati G., Sinding Chr., Schytte L., Wachs P. i t. d.

Prenumerata w Warszawie: rocznie 5 rub., półrocz. 2.50 kwart. 1.25 z przesyłką pocztową: 6 3.— 1.50

Numer pojedynczy 80 kop., pozostałe z lat poprzednich po 40 kop.

Adres redakcji: Warszawa, Warecka 15. Prenumeratę przyjmują również wszystkie księgarnie. Agentura dla Galicyi: u St. Sokołowskiego we Lwowie, Pasaż Hausmana 9.

Redaktor i wydawca LEON CHOJECKI.

„ZORZA“

Pracownia Haftów Stylowych

ORAZ

SZTUKI STOSOWANEJ.

WARSZAWA, WSPÓLNA № 45.

HERMAN & GROSSMAN



Warszawa, 16 Mazowiecka 16.
PETERSBURG — MOSKWA — LUBLIN

Fortepiany, Pianina, Organy

fabryk krajowych i zagranicznych w wielkim wyborze

Sprzedaż na rozplaty miesięczne po 25 rb.

WYNAJEM WYBOROWYCH INSTRUMENTÓW

Angelus — Orchestral „SYMPHONY”

Piano — „CROWN” 15

Cenniki ilustrowane gratis.

Telefon № 812.

Pracownia i Magazyn Wyrobów Srebrnych Złotych i Brylantowych

J. LIPOWSKI

w Warszawie, przy ulicy **Trębackiej Nr. 9.**

Poleca wybór biżuterii złotej z drogiemi kamieniami, jako to: pierścionki, broszki, koleżki, bransolety, breloki, krzyżki, łańcuszki damskie i męskie, oraz srebro stołowe i fantazyjne. Przyjmuje się zlecenia na żetony, medale pamiątkowe, monogramy, faksymile i wogóle na wszelkie obstalunki w zakres jubilerstwa wchodzące. — **Ceny fabryczne.**

Egzystuje od r. 1878.

Parowa Farbiarnia i Pralnia Chemiczna

Egzystuje od r. 1878.

p. f. ŁUKOMSKI

Warszawa, BRACKA Nr. 6.

Przyjmuje się do prania i farbowania garderobę damską i męską bez prucia, gobeliny, firanki, dywany, chodniki; odświeżanie mebli i apartamentów z gwarancją firmy w razie uszkodzenia. Na prowincję wysyła się specjalistów na koszt firmy. Ceny niskie, lecz stałe.

Marjan Gawalewicz.

Wiktor Czajewski.

ZNAK ZAPYTANIA

Bardzo ozdobne wydanie.

Cena rb. 1 k. 50 w ozd. opr. rb. 2.

Katedra Św. Jana w Warszawie

Z licznymi ilustracjami. Cena rb. 2.

Skład główny w Księgarni J. FISZERA.

Nabywać można we wszystkich księgarniach.

SZKOŁA KROJU I. GRABSKIEJ

CHMIELNA № 49.

Metoda własna, dyplomowana w Paryżu, bez linijek i poprawek krajać można wprost z materiału. Patenty cechowe. 14

CZESANIE DAM

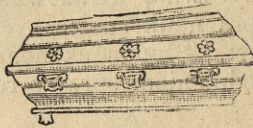
Tak na miejscu, jako też na mieście przez specjalnie uzdolnionych fryzjerów. Salony higienicznie i elegancko urządzone poleca

ZAKŁAD FRYZJERSKI
ALEKSANDRA LIPINK

Wierzbowa, róg Niecałej.

3—2

Załatwiam pogrzeby od rbl. 25



do najwykwintniejszych.

Trumny metalowe od rb. 30

drewniane od rb. 12 i dębowe.

Wieniec metalo-

we od kop. 75, Makkarta zasuszone od k. 60 Szarfy. Pochodnie.

100 kapeluszy z woalami od rbl. 4. Suknie od rbl. 15. Spódnice z krepa od rbl. 7 kop. 50. Ubiory pośmiertne.

Z. FIJAŁKOWSKI

Senatorska 26, (wprost kościoła św. Antoniego). 6



„ALBUM SZTUKI POLSKIEJ”

Cena rb. 12 w bogatej oprawie z brzegami złożonemi, z przesyłką pocztową rb. 13 kop. 50.

Nabyć można w każdej księgarni: Zamawiający u Wydawców w kantorze drukarni P. Laskauera i W. Babi-

ckiego w Warszawie, ul. Ś-to Krzyżka Nr. 11,

kosztów przesyłki i opakowania nie ponoszą.

NOWO-OTWORZONY
ZAKŁAD OGRODNICZY

B. SOLNICKI

ul. Marszałkowska № 85.

POLECA wszelkie roboty Ogrodnicze jako i Bukieciarskie po cenach bardzo przystępnych. 17

WYDAWNICTWA

GEBETHNERA I WOLFFA

NARCYZA ŻMICHOWSKA

(GABRYELA)

Wybór Pism

Z PORTRETEM AUTORKI i przedmową IGNACEGO CHRZANOWSKIEGO.

(Biblioteka miniaturowa).

Cena rb. 1, w ozdobnej francuskiej oprawie rb. 1 kop. 80.

M Y Ś L I

NARCYZY ŻMICHOWSKIEJ

ZEBRAŁA ELLA.

I. Wzmianki autorki o samej sobie. II. O przyjaźni, miłości i o kobietach w ogóle. — III. O wychowaniu i rodzinie. IV. Książki czytane, dzieła sztuki i zapatrywania na różne stosunki i zjawiska życiowe. V. Uczucia religijne, moralne, społeczne i t. d. — Rb. 1.20 W ozdobnej oprawie Rb. 1.80.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

We wszystkich księgarniach sprzedają się dzieła pedagogiczne **Reussnera** do bardzo przedkij i najłatwiejszej nauki **Języków Obcych bez nauczyciela** z objaśnieniem wymowy i kluczem, pod tyt.

SAMOUCEK

Polsko-Francuski kurs I-szy kop. 1.20 — kurs II-gi kop. 3.20.

Gramatyka polsko-francuska kop. 1.20.

Polsko-Ruski kurs I-szy k. 1.40, kurs II-gi kop. 1.80. 9

Skład u autora, Warszawa, Złota № 6.